Tu Gober. O nowej książce „Łobuzy”.



Tu Gober

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Właśnie wyszła Pana książka „Łobuzy”. Jest to powieść przygodowa, której akcja dzieje się w małym miasteczku na Pomorzu w latach 90. Skąd

pomysł na tę powieść?

Tu Gober: Pomysł narodził się jak zwykle sam z siebie. Tam razem było to na tyle szybkie i spontaniczne, że aż sam się zdziwiłem. Po prostu usiadłem przy komputerze, pomyślałem – trzeba napisać książkę, otworzyłem notatnik i poleciało. Z biegiem pisania rodziły się pomysły i cały zarys fabuły. Dopiero potem, jak już się ocknąłem z tego naprawdę miłego transu zrozumiałem, że to jest to. Inspiracje na pewno przyszły z dzieciństwa, w którym miałem tyle przygód, że zabrakło by papieru, aby je wszystkie opisać, no ale zamiast biografii powstała książka przygodowa i mimo tego, że fabuła jest wytworem mojej wyobraźni, towarzyszy jej wiele autentycznych scen i epizodów z tamtych lat.

Sam pochodzę z Pomorza, a dokładnie z Lęborka i choć opisywane miasteczko, w którym mieszkają i broją młodzi bohaterowie książki „Łobuzy" nosi nazwę Potok, to można w nim znaleźć wiele podobieństw do większych lub mniejszych miejscowości na północy Polski.

Myślę, że wielkim atutem tej historii jest to, że cała akcja rozgrywa się właśnie w latach 90., bo dla wszystkich tych, którzy wtedy żyli będzie to bardzo jaskrawa reminiscencja, która przywróci wiele wspomnień, a dla młodszych czytelników odbiciem tego jak wtedy było. To wszystko, przewija się obok

intensywnych przygód grupki zbuntowanych chłopaków, którzy postanowili uciec ze swoich domów. Na początku zobaczymy ich w rodzinnych domach, szkole czy na podwórku, gdzie duch tamtych czasów będzie widoczny w każdej linijce, a kolejne kartki przeniosą czytelnika w gęstwiny lasów, gdzie gubi się czwórka uciekinierów muszących znaleźć sposób na to, aby tam przetrwać. A niebezpieczeństw czyha naprawdę wiele.

Jaki cel Panu przyświecał, kiedy pisał Pan tę książkę?

Myślę, że bardziej niż cel było to natchnienie. Przypływ weny, który musiał znaleźć gdzieś swoje ujście, a za każdym razem kiedy coś stworzę to bardziej lub mniej świadomie kontynuuję również już dawno obrany cel, aby coś tu po sobie zostawić.

Taka historia jak ta opisana w „Łobuzach” nie zmieściła by się w kawałku muzycznym, gdyż zabrakło by miejsca, aby umieścić w nim tak wiele szczegółów więc myślę, ze dobrze się stało że zacząłem pisać to prozą, zamiast tak jak najczęściej to robię rymować.

Do kogo jest książka skierowana? Czy może być to lektura „rodzinna” na wakacje?

Książka ta skierowana jest niemal dla wszystkich pokoleń, choć na pewno z jakimś ograniczeniem dla tych najmłodszych, gdyż

występują w niej elementy thrillera. Myślę, że świetnie nada się na wakacje, w których czytelnik na chwilę przeniesie się w czasie i nie będzie się przy niej nudził. Oprócz tych groźniejszych sytuacji, będzie tam wiele humoru, także jak najbardziej na hamak, wygodną kanapę czy do pociągu, samemu czy też z rodziną.



To jest druga już Pana książka, proszę przybliżyć pierwszą „Trzy sumienia”?

W „Trzech sumieniach” opisałem przygody trójki przyjaciół,

którzy są już trochę po dwudziestce i kroczą nie do końca legalną drogą. Trener, Beno oraz Kalafior uwikłani są w przeróżne perypetie, a fabuła obrazuje ich przyjaźń, start w dorosłe życie i zmagania z trudną sytuacją na tle miejskiego marginesu. Tę książkę trudno zaszufladkować, gdyż występuje w niej wiele elementów, od obyczajowych, aż po kryminalne czy dramatyczne. Najbardziej pasowałoby do niej miano powieści ulicznej, jeżeli taka kategoria istnieje. Pokazany jest przestępczy światek, gdzie nie brakuje kradzieży i narkotyków, ale są także głębokie refleksje oraz przemiana, która na swój sposób następuje w każdym z trzech bohaterów.

Na czym polega połączenie tej książki z płytą „Dwa glosy”?

Niemal każdy utwór, który znalazł się w albumie „Dwa Głosy”, w jakiś sposób nawiązuje do tematyki „Trzech Sumień” i najbardziej jest to słyszalne w audiobooku, który nagrałem, gdzie pojawia się część z nich. Pisząc książkę myślałem o płycie i na odwrót. Atmosferę dobrze oddaje też brzmienie, nad którym pracowałem wraz z Dj-em Gonkiem. Ogólnie kosztowało to wszystko sporo pracy, ale myślę że było warto i wyszło z tego coś ciekawego.

Jest Pan raperem, producentem muzycznym, twórcą teledysków, organizatorem koncertów. Jak Pan godzi tyle działalności?

Czasami myślę, że trochę za dużo biorę sobie na głowę, ale chyba taki już jestem. Nie potrafię zbyt długo usiedzieć w miejscu i bezustannie rodzą się nowe pomysły. Myślę, że szybko by mi się to znudziło, gdybym zajmował się tylko jedną z tych rzeczy i choć chwilami brakuje czasu plusem jest to, że wszystkie te pasje są ze sobą związane, więc łatwiej je realizować. Jest coś niesamowitego w połączeniu dźwięku i obrazu. Wydaje mi się, że jestem dopiero na początku tej drogi, gdyż naprawdę mocno mnie to wciągnęło. Pozytywnego kopniaka daje też widok bardzo ucieszonych ludzi, którzy przychodzą posłuchać na żywo swojego ulubionego artysty i choć chwilowo brakuje mi na to czasu, myślę, że pojawią się jeszcze jakieś koncerty, które wspomogę. Rap był odkąd pamiętam i jeśli do tego dożyję to będę go wykonywał zapewne jeszcze jako siwiutki dziadek. Eksperymentuję również z innymi gatunkami, takimi jak jazz, reggae, muzyka filmowa czy drum’n’bass i coraz częściej myślę, aby stworzyć z tego jakiś fajny zlepek i umieścić to na płycie.



Tu Gober w Lęborku, fot. Gie Studio

Mieszka Pan w Irlandii, proszę opowiedzieć jak znalazł się Pan na emigracji?

To chyba taki sam powód jak u 99% reszty emigrantów, a mianowicie w Polsce brakowało perspektyw na godny byt. W byłym województwie słupskim, do którego zaliczał się Lębork panowało najwyższe bezrobocie w kraju i naprawdę nie było lekko. Jako młody i niezbyt roztropny w tamtych latach człowiek, popadałem w coraz większe kłopoty i dołączenie do tej ogromnej fali emigracji w latach 2005-2008 było dla mnie wyjściem z opresji.

Z moich obserwacji wynika, że teraz ludzie żyją w Polsce coraz

lepiej i ostatnio też jestem świadkiem fali powrotów. Wielu z moich przyjaciół oraz znajomych wróciło do Polski i myślę, że na mnie też już niebawem czas.

Pana teksty są w wielu przypadkach bardzo patriotyczne. Czy mieszkając poza krajem odczuwa się większą potrzebę bycia patriotą? Jak to jest wśród młodego pokolenia?

Ojczyzna zawsze miała dla mnie wielkie znaczenie i pierwsze patriotyczne utwory powstawały, kiedy w niej jeszcze mieszkałem. Myślę jednak, że przebywając daleko za granicami odczucia patriotyczne pogłębiają się w człowieku i mimowolnie każdego z nas tutaj raz na jakiś czas dotyka nostalgia, jakby wołało coś nas z powrotem. Uczestnicząc czy organizując spotkania patriotyczne nie raz miałem okazję poczuć i zobaczyć prawdziwego ducha polskości, którego żar u wielu z nas emigrantów jest tak wyraźny. Poznałem tutaj wspaniałych ludzi, którzy godnie reprezentują swój kraj i zawsze z chęcią pomogą rodakowi w potrzebie. Myślę, że nie jest to prawdą, że na obczyźnie nie mamy wpływu na losy własnego kraju, otóż każdy z nas tutaj jest w pewnym sensie jego ambasadorem. Wpływamy tu na opinie, zachęcamy do turystyki, inwestujemy w Polsce zarobione pieniądze, a tworząc oraz jednocząc silną diasporę możemy mieć szansę na wiele więcej.



18-go czerwca miała miejsce premiera Pana najnowszej płyty p.t. „Start”. Proszę o niej opowiedzieć.

Album ten jest dla mnie szczególnie ważny, gdyż pokazuje początek nowego etapu w moim życiu. Jest to obraz zmiany na lepsze, których doświadczyłem w wielu aspektach, takich jak rodzina, rozwój osobisty czy wiara. Oderwany od starych nawyków oraz stagnacji startuję wraz z nim w nowe. Pozbyłem

się pewnych oporów i własnych blokad i teraz może być tylko lepiej, a moja twórczość osiąga właśnie kolejny poziom. Dwanaście utworów na płycie to mieszanka klasycznego i nowoczesnego brzmienia, jednak zachowana została spójność i jestem z nich bardzo zadowolony. Jest to też mój pierwszy solowy album, gdzie podkłady muzyczne tworzyłem lub dobierałem samemu. Wspomogli mnie wspaniali goście i jak zawsze fenomenalny Dj Gondek.

Wywiadu udzielił: Tu Gober czyli Bogumił Dominik Pałys (Irlandia)



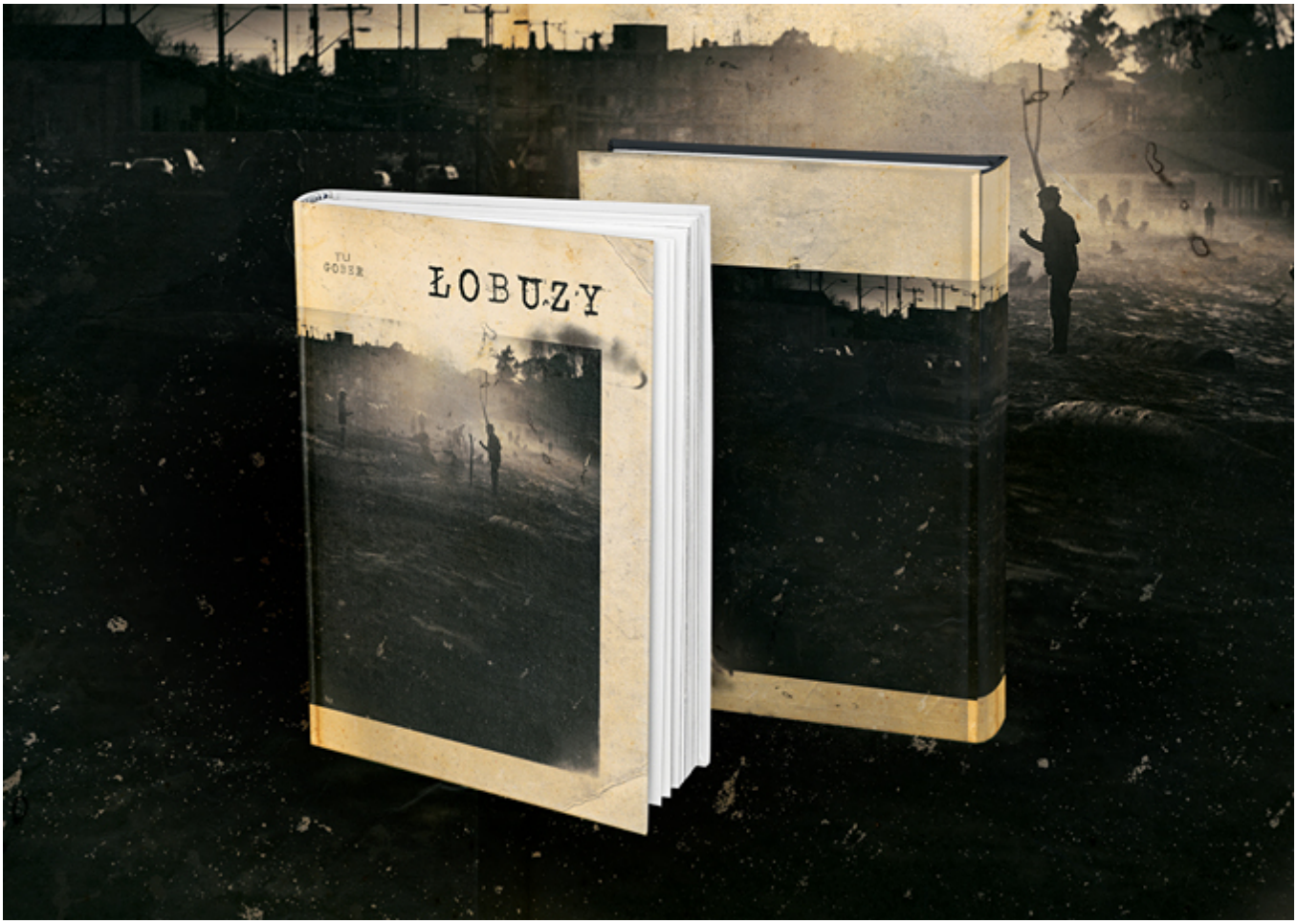
Tu Gober

Gober – raper, producent muzyczny, twórca teledysków, pisarz, organizator koncertów. Udziela się w takich zespołach jak Styl i styka, 2XG, Ostatni Bastion.
Od wielu lat mieszka i tworzy na emigreacji w irlandzkim mieście Galway, pochodzi z Lęborka, gdzie rozgrywa się akcja, napisanej przez niego książki „Trzy sumienia", która ściśle połączona jest z płytą „Dwa Głosy", nagraną w składzie Styl i styka. Gober w swojej twórczości, współpracuje lub współpracował m.in. z takimi muzykami jak Dj Gondek, Melny, Mc Rungus, Dj Feel-X, Bas Tajpan, Złote Twarze, Poszwixxx, Rob Kelly. Ponadto grał wiele

koncertów, „supportując” czołowych reprezentantów polskiego rapu i reggae. W czerwcu miała miejsce premiera jego solowej płyty o nazwie „StART”, a już niebawem drugiej książki pt. „Łobuzy”.
Twórczość Gobera, można śledzić na stronie: www.stylistuff.net

---

Łobuzy (fragment)



Tu Gober *(Bogumił Dominik Pałys, Irlandia)*

Potok to małe miasteczko. Zamieszkiwało je coś w okolicach dwudziestu tysięcy ludzi. Umieszczone w niewielkiej dolinie i otoczone szeregiem wzgórz morenowych i lasów, poprzecinane było wartkimi korytami rzek oraz ich licznych odnóg. Rzeki i liczne strumienie zapewne nadały miasteczku imię, gdyż w Potoku są ich aż dwie – Spływka oraz Kaszubia, a przez okoliczne knieje płynie jeszcze jedna o nazwie Górna. Lasów wokoło aglomeracji było naprawdę dużo i praktycznie całą mieścinę okalały ich bujne gęstwiny. Miejskie powietrze wypełnione było intensywną wonią dojrzałych iglaków, a żeby wjechać, lub też

wyjechać z Potoku, trzeba było przemierzyć spore połacie lasów. Żwawo płynąca woda, małe wodospadziki i mnogość zieleni, sprawiały, że okolica była bardzo malownicza. Ludzie, gdy tylko mogli, przesiadywali lub spacerowali w tych pięknych terenach. Bujne, zadbane parki, zielone łąki na skrajach lasów lub miejskie promenady przy rzekach, często gościli przechodnie i piknikowicze. Chłopcy, którzy mieszkali tam od urodzenia nie zdawali sobie sprawy z wdzięku ich miasta. Dla nich był to po prostu wielki plac zabaw. Choć mieli dopiero po jedenaście lat pozwalali już sobie na eskapady w najdalsze zakątki miasteczka. Ich celem nie było jednak zwiedzanie przyrody lub bezczynne siedzenie na ławkach. Szukali czegoś, gdzie można się było poganiać lub powygłupiać. Lubili też wchodzić na drzewa, odwiedzać wszystkie budowy, łazić po dachach i zwiedzać każdy kąt dla nich nowy.

– Dobra no choooć dasz radę!

– No kurde, noga mnie boli!

– Daaawaj, pomożemy ci!

– No nie wiem… a jak ja zejdę?

– No też ci pomożemy, daaaaawaj!

– No dooobra… tylko dajcie mi ręke, bo nie mogę jeszcze stawać na nogę.

Chłopaki wspinali się właśnie po piorunochronie. Najpierw weszli na garaż, co nie było zbyt trudne, a szczerze mówiąc była to dla nich bułka z masłem, albo kanapka ze szczypiorkiem.

– Ałaaaa, nie mogę sie oprzeć nogą, podajcie rękę – Szymkowi w końcu już też udało się wdrapać i teraz mogli spacerować sobie po jednopiętrowym budynku. Bardzo lubili chodzić po dachach i czuli się naprawdę wspaniale, spacerując tak na wysokościach, gdy ci na dole nie mieli pojęcia, że ktoś właśnie drepcze nad ich głowami. Tam w górze widzieli wszystko jak na dłoni, a kominy mogli wykorzystać jako osłonę przed przeciwnikiem. Tymi wrogami byli wszyscy, którzy mogli by ich tam zobaczyć, ponieważ nie podobało się to nikomu i prawie zawsze, gdy ich przyuważono, kazano im szybko zejść na dół i często też mogli za takie harce oberwać. Za osłoną kominów, kryli się więc i kucali, a anteny telewizyjne zdawały się być lufami karabinów i chłopcy byli znów jak Comando.

– I co dzisiaj robimy wieczorem?

– Ja idę do domu bo jutro sprawdzian z matmy – odparł kolegom Mateusz.

– No i co z tego?

– No chcę sie nauczyć , bo dostane pałę… nic nie umiem.

– Ja też nic nie umiem – powiedział Daniel.

– Ja też – dodał Szymon.

– I co? Nie bedziecie się uczyć?

– Nie e.

– No bo jesteście głupi.

– Ty jesteś głupi – odpowiedzieli koledzy.

– A wy najgłupsi – ciągnął tą słowną potyczkę Mati.

– A ty jesteś głupi dziobak – odparł mu Daniel

– Dobra idziemy – wtrącił się Piotrek i tamci ruszyli za nim wciąż jednak kontynuując swą waśń.

Wygłupy oraz przytyki to dzienny porządek podczas ich spotkań na podwórku, czy w szkole i Szymonowi nieco się obrywało, gdyż kuśtykał i nie mógł biegać więc chłopaki, bardziej niż

zwykle mogli pozwolić sobie na strojenie sobie z niego żartów.

– Kuternoga.

– Połamaniec, hehe.

– Spadajcie… Nie chcielibyście tak!

Gdy zeszli już z dachu i powoli wracali w swe strony, Mateusz zadzwonił do jednych drzwi, po czym chłopaki zwiali co sił w nogach, zostawiając Szymona z tyłu. Trudno opisać ile sprawiło im to radości, a protesty kumpla, jedynie ją powiększały.

– Nie róbcie tak gnoje! – groził nicponiom.

– Haaaaahahahahahaha!!! – dokazujących kumple ogarnął szaleńczy śmiech.

– Jeszcze zobaczymy! – w nerwach lecz z przenikającym często chwilowym uśmieszkiem, kaleka zasuwał do przodu, biegnąc jak gdyby na jednej nodze.

Było już po dziewiętnastej, lecz chłopcy postanowili jeszcze usiąść na bloczkach z betonu, które zalegały od lat na terenie szkoły. Gadali o „dupie Maryny” bo nie chciało im się iść do domów. Ze sobą czuli się najlepiej i często to powtarzali, że

szkoda iż wszyscy nie byli braćmi, ponieważ mieszkali by wtedy razem i mogliby spędzać ze sobą jeszcze więcej czasu.

– Maaaaarek! Dało się słyszeć wołanie z daleka.

– Muszę iść, to moja starsza.

– Dobra ja też idę.

– Ja też, ja też – rozstali się młodzi kumple, krzycząc coś jeszcze za sobą.

Jednego razu Marek miał bić się po lekcjach z Bąkiem, więc wszyscy na to czekali. Był on od niego starszy o rok i jako najwyższego w klasie, uważano go za jednego z silniejszych z czwartej B. Pomimo to był również chudy jak szkapa i czasem zdawać się mogło, że zaraz poprostu się cały rozsypie. Ta awantura wybuchła, gdy tamten dryblas powiedział coś do jego siostry i Maro się za nią wstawił. Wszyscy koledzy z paczki wiedzieli, że Bąku, choć był chudzielcem, nie można go było nazwać słabiakiem i że nieźle radził sobie w sporcie, a więc dopingowali mocno swojemu młodszemu koledze z podwórka, który chodził do trzeciej klasy. Na każdej kolejnej przerwie spotykali się, dając rady i mobilizując jak mogli kumpla, który to zdradzał lekkie obawy, przed starciem ze starszym od siebie rywalem.

– Dasz mu radę, to strach na wróble!

– No właśnie, połamiesz mu kości jak patyki – hehe.

Marek nie odzywał się dużo i w jego gardle narastało coś w kształcie kluski, której nie można przełknąć. Czuł strach, ale nie mógł się teraz wycofać bo okazałby słabość i zrobił by z siebie pośmiewisko.

Na otwartym polu przy działkach, odbywały się szkolne solówy. Miejsce to znajdowało się jedynie około czterdzieści metrów od budynku ich szkoły, lecz zasłonięte było płotem oraz drzewami, więc żaden z nauczycieli nie mógł niczego dojrzeć. Jak zwykle na pokaz dzikich sztuk walki, przybyło znów wielu widzów.

– Dawaj Bąku lej go! – dopingowali jego koledzy z klasy.

– Nie daj się Marek! – podkręcali do boju, przeciwni kibice.

Wyglądało, że Maro dostanie dziś spore bęcki, bo tamten wyższy o ponad głowę okładał go z góry, długimi jak szpadle łapskami. Dużo niższy wojownik nie miał za dużo manewru i mógł póki co jedynie chronić swą twarz i unikać spadających nań ciosów. Nie było szansy, aby mógł przedrzeć się swymi krótkimi dłońmi, przez nawałnice czynioną przez Bąka i jeszcze trafić wysoko utkwioną głowę rywala. Czasami zmieniał się tryb bijatyki i

jeden drugiego chciał zwalić na ziemie szarpiąc się za ubrania oraz starając podstawiać haki. To była walka bez, żadnej gracji. Zwykła szamotanina, lub przebieranie pięściami „na chama", gdzie ten roślejszy napastnik okładał drugiego na oślep i nawet młoda i niezbyt wybredna publiczność była już zniesmaczona takim widokiem. Dopiero po jakimś czasie, Mareczek odkrył jak może zagrozić tamtemu i zaczął używać nóg. Niskie kopniaki skierowane na łydki oraz piszczele, zdały się zaskoczyć wroga, sprawiając mu widoczny ból. Jednak zamiast zwolnić naparł on z jeszcze większym zacięciem na Marka, trafiając go raz na tyle mocno, że stracił on równowagę i poleciał do tyłu na giętkich nogach, szczęśliwie lądując na publiczności, która wrzuciła go znowu na trawiasty ring. Na szczęście nie był to cios trafiony w jakiś czuły punkt taki jak kość policzkowa, łuk brwiowy, szczęka lub nos. Chłopak dostał jedynie gdzieś w czoło, więc stanąwszy znów pewnie na nogach był w pełni gotów by dalej się bić. Co więcej, zdawało się, że nabrał on sił i wigoru, a jego kopnięcia zaczęły lądować wyżej. W pewnym momencie Bąku dostał od niego w żebra i musiało go to srogo zaboleć, gdyż skrzywił się i zgiął się raptownie, a jedna z rąk, bezwarunkowo powędrowała w kopnięte miejsce. Maro nie czekał długo i prawym prostym wykorzystał swoją okazję. Uderzył tamtego w zęby, a potem jeszcze raz gdzieś pod oko. Jego przeciwnik, musiał to solidnie odczuć bo skrył tylko twarz w swoich dłoniach i chociaż stał dalej na nogach i śmiesznie przebierał łokciami jakby chciał dalej walczyć, Marek nie miał już trudu, aby powalić dryblasa.

Podstawił za nim swą lewą nogę i pchnął go do przodu, sprawiając, że tamten runął do tyłu jak długa kłoda. Skoczył potem na niego i przyparł go mocno do ziemi. Chwytając Bąka za jego chude łapiny, chwilę się z nim szamotał i w końcu przycisnął je obie do gruntu, trzymając je tam przez chwilę.

– Na łopatkach, wygrał, wygrał! – odezwały się zewsząd krzyki.

– Niech wstanie i niech biją się dalej – dały się słyszeć inne.

– Wygrał, wygrał! Koniec walki! Marek wygrał! – kompani z paczki, odciągnęli kolegę i zaczęli klepać go radośnie po plecach, a Bąku nie protestował i zdawał się pogodzić z takim wynikiem, mając wyraźnie dosyć tej bitki. Wstał znów na nogi i starał się trzymać postawę, lecz widać było, że bardzo zawstydził go fakt porażki z trzecioklasistą. Maro był cały czerwony, miał guza na czole i jeszcze więcej na głowie, a jego poszarpane, lecz trzymał się dzielnie jak buhaj.

Poszli więc w swoją stronę, a z tyłu została cisza i niesmak. Kumple natomiast cieszyli się bardzo i niezmiernie chwalili Marka, który urósł dzisiaj w ich oczach i obronił swój honor i dumę.

– Chodźcie do mnie, zagramy w Pegazusa – zaproponował im Szymon, na co chłopcy od razu przystali. – Mam nowe

„kartridże” od wujka Mirka.

– No co ty gadasz?! A jakie?

– Street Fighter i Księgę Dżungli!

– Ooooo! Suuuper! Biegniemy! Kto pierwszy ten król!!!

Pobiegli więc, jak zwykle ścigając się po drodze i skacząc przez murki i płot. Z nogą Szymona było już prawie wszystko w normie i tylko trochę kuśtykał nie dając się zostawić daleko w tyle. Ich plecaki skakały na nich jak głupie, ale ich ciężar nie przeszkadzał tym pierwszorzędnym sprinterom. Wparowali jak przeciąg do domu i już chcieli zabrać się za granie, gdy nagle spostrzegli, że w dużym pokoju, obok telewizora, brakuje stojącej tam zawsze konsoli.

– Maaaaamo, gdzie jest pegazus!!!?! Mamooo słyszysz! – Szymon z podniesionym głosem wparował do kuchni.

– Po pierwsze nie krzycz, a po drugie schowałam go, bo dzwoniła do mnie dyrektorka i mówiła, że wczoraj nie było cię w szkole – oznajmiła mu dosyć spokojnie matka.

Wiadomość ta ścięła z nóg chłopca i stał tylko jak wryty czerwieniąc się cały na twarzy, oraz wpatrując w mamę.

– A teraz mów do cholery gdzie byłeś!??! – dodała po chwili, tym razem podnosząc znacznie swój ton. – Na wagary chodzisz gówniarzu jeden? Czy ja cię tego nauczyłam? Gdzie byłeś?

– W szkole! – ze zdziwioną miną i głową zapatrzoną w podłogę, odpowiedział już dużo spokojniej małolat.

– I jeszcze do tego kłamie, ja ci dam Pegazusa! Przez rok go nie zobaczysz!

– Ale maaamo… – zaciągnął Szymek.

– Co mamo?!? – krzyknęła matula.

Koledzy, słyszący wszystko z pokoju, zdawali się mieć drgawki. Pomimo dość przestraszonych min nie mogli zapanować nad cichym rechotem, szturchając jeden drugiego.

– Koledzy do domu, a ty do nauki!

Kumple prędko czmychnęli z mieszkania, a rozgniewana matka dalej pytała syna.

– Powiesz w końcu prawdę czy nie? Jak nie powiesz gdzie byłeś to przez miesiąc będziesz miał karę.

Chłopiec się nie odzywał.

– No mów!

– W szkole.

– Jak w szkole, jak pani dyrektor mówiła, że cie nie było! Wiesz, że ona dzwoni do mnie jak coś nabroisz! To gdzie byłeś naprawdę!? – Tym razem, kobieta uniosła dłoń jakby chciała wypalić mu klapsa.

– No w szkole byłem… – po tych słowach chłopak oberwał po głowie i uszach.

Dostając solidne razy, zawołał:

– No byłem w szkole, tylko nie na lekcjach – protestował jękliwie łobuz.

Matka westchnęła z dezaprobatą.

– To gdzie ty tam byłeś? – wciąż głośno, ale z ręką ściągniętą już w dół, dalej go wypytywała.

– No w szatni, w piwnicy.

– Do cholery jasnej zamiast na lekcjach to ty siedzisz w jakiejś piwnicy? Co to ma być! Co ty tam robiłeś?

– Nie mogłem iść bo był sprawdzian, a ja nienawidzę tej głupiej matmy.

– To co ty w ogóle lubisz, z innych lekcji też masz dwóje i pały. I co tam robiłeś pięć godzin?

– Uczyłem się.

– Na lekcjach się uczy, a nie w jakichś piwnicach, co ty za głupoty gadasz!?!

– Naprawdę, bo jutro jest sprawdzian z gegry.

Matka patrzyła z niedowierzeniem na syna i na moment wyglądała jakby zastanawiała się nad czymś zupełnie innym, jakby jakieś wspomnienie przemknęło jej przez myśl.

– Koniowi na ucho – powiedziała w końcu już nieco spokojniej – poza tym nie opuszcza się jednych lekcji, żeby uczyć się na inne!

– Ale ja lubię gegrę, a matematyki nie lubię i nie chce mi się uczyć tych głupich ułamków…

– Masz chodzić na wszystkie lekcje i koniec dyskusji ! Jak jeszcze raz się dowiem, że uciekłeś to dostaniesz tak, że na zawsze zapamiętasz i jeszcze do końca roku nie wyjdziesz z domu!

Szymon wystraszył się trochę tych słów i czuł, jakby jakaś twarda gula podchodziła mu gdzieś z okolic płuc aż do gardła. Wciskał ją siłą woli z powrotem, ponieważ nie chciał płakać i tylko dwie albo najwyżej trzy łzy, zaczęły spływać powoli po jego policzkach. Szybko je wytarł, wyciągnął z plecaka zeszyty, piórnik i jakiś podręcznik i w zamyśleniu począł udawać, że coś z niego czyta.

– Co ja z tobą mam… – matula żaliła się smutno, powróciwszy do gotowania obiadu.

Kuchnia dzieliła się na część przeznaczoną do sporządzania i przechowywania żywności i część ze stolikiem przy oknie, gdzie jedli i gdzie Szymek odrabiał lekcje. Poza tym był tam jeszcze kąt przeznaczony do przechowywania przedmiotów ogólnogospodarczych, takich jak miotła, wiadro, pojemnik na jakieś szmaty i szczotki, a obok mieścił się nieduży schowek, gdzie upchane były garnki, patelnie i inne sprzęty kuchenne. Podłogę pokrywało jasnobrązowe gumoleum, z niewyraźnym już wzorem, startym od tysięcy stawianych nań kroków. Kafelki w części kuchennej, były bladobrązowe i jednolite, a część ze stolikiem, imitująca małą jadalnię pomalowana była kiedyś białą

farbą, która po czasie zszarzała i ozdobiła plamami i zaciekami. Po wielu latach użytkowania, przydałby się tam solidny remont, lecz nie było ich stać na wynajęcie fachowca, a matka nie potrafiła sama się za to zabrać. Wujek Mirek już od dawna obiecywał, że im w tym pomoże, lecz wciąż to odkładał i żyli tak w tych skromnych warunkach, dalekich od elegancji oraz komfortu. Reszta mieszkania, była w podobnym stanie i choć nie panował tam brud, widać było, że lokatorom się nie przelewa i bieda, postawiła tam swoja pieczęć.

Niesforny uczeń, zaczął pisać coś w końcu w zeszycie, ale myślami odbiegał co chwilę do wczorajszego dnia, gdy w czasie trwania lekcji schował się w szatni, umieszczonej w piwnicy szkolnej. W zasadzie nie siedział tam długo, ponieważ wraz z Mateuszem, znaleźli tajemne przejście, prowadzące do części szkolnych podziemi, do których normalnie nie było wstępu i gdzie magazynowane były różnego rodzaju przedmioty, archiwa oraz mieściła się też palarnia i kilka innych pomieszczeń. Dostali się tam przez szczelinę, przez którą szły rury do ogrzewania. Między nimi i sufitem była na tyle spora luka, że mogli się przez nią przecisnąć. To odkrycie zrobiło na nich ogromne wrażenie i nie mogli odejść od zachwytu, gdy podziwiali wszystkie przedmioty i przestrzenie niczym w nowo odkrytej krainie. Były tam mapy, globusy, szkielety, mikroskopy inne cuda z klas biologicznych, roiło się od stert tablic, pudełek z kredami, arkuszy papieru oraz zeszytów, książek, farbek, mazaków,

kredek, wskaźników, piłek i wszelkiego innego sprzętu przydatnego w szkole. Zwiedzali, szperali i posuwali się coraz dalej, a przy tym zdawało się im, że są bohaterami jakiegoś przygodowego filmu. Młodzi odkrywcy bawili tam prawie dwie godziny, gdy Mati w końcu postanowił pójść na lekcje bo bał się, że jego rodzice dowiedzą się o tych wagarach. Szymon został tam sam i rzeczywiście, nie mając samemu co robić, wziął się za naukę na sprawdzian z geografii, w czym pomagały mu niektóre z odnalezionych przedmiotów, przyczyniając się do tego, że jego tajemne studia całkiem go pochłonęły. Choć miał zamiar wrócić na trzecią lekcję, został tam już do końca zajęć, spędzając czas w ciszy, oraz spokoju, gdzie cały szkolny harmider, docierał tam tylko już jako nikły szmer.

– Zabieraj mi to stąd! I telewizje normalną włącz, a nie te głupoty! – Ojcu Mateusza nie podobała się zabawa syna w układanie domina i kart na stole, z których tworzył tam różne budowle, ciekawe obiekty i ścieżki. Dzieciak już po raz kolejny oglądał przy okazji Gunnisa, którego włączył z kasety video, lecz teraz musiał to wszystko przerwać. Niechętnie lecz w ciszy spełnił polecenia taty, po czym na chwilę oglądał z nim coś co pojawiło się na ekranie. Jakiś facet w garniturze, mówił dość powoli i chyba po polsku, lecz chłopak kompletnie go nie mógł zrozumieć. Z jego wyrazu twarzy, można było wywnioskować, że to coś ważnego lecz w uszach Matiego brzmiało to jak zupełny bełkot. Ojciec również wyglądał jakby niewiele z tego rozumiał i

przybrał minę jakby ktoś mówił do niego w obcym języku, a jego brwi poruszały się w nerwowym tiku. „To na pewno jakiś polityk czy coś…” – myślał chłopiec – „oni tak zawsze, całkiem bez sensu gadają”. Szybko znudzony postanowił wyjść z pomieszczenia, lecz ojciec mu nie pozwolił.

– Gdzie idziesz? Posłuchaj trochę jak panowie rozmawiają. To jest o ważnych sprawach…

– Muszę to oglądać? – zapytał zniechęcony syn.

– Tak – odpowiedział z uporem mężczyzna.

Ten człowiek nie często bywał pogodny. Jego zachmurzona twarz, tylko czasami zdradzała nikłe oznaki szczęścia i można powiedzieć, że było to tylko dwa, albo najwyżej pięć procent jego całego obycia. Pracował jako majster w ślusarni, mieszczącej się w jednej z hal, na terenie gdzie znajdowała się kiedyś spora fabryka, a od kilku lat, po jej zamknięciu tylko jakaś jej część była wykorzystywana i wynajmowana przez różnych przedsiębiorców gdzie prowadzili swe działalności. Janusz Kubiak, pracował tam jeszcze w czasach gdy cała fabryka była państwowa i pozostał po prostu na swym stanowisku, kiedy ślusarnia przeszła w prywatne ręce. Często powtarzał, że marnuje tam swoje życie i niemal codziennie wracał do domu przybity i zdenerwowany. Kiedyś, w latach młodości miał swe

zapędy oraz marzenia by zostać nauczycielem lub naukowcem, lecz nigdy nie udało mu się ich urzeczywistnić. Jego rodzice, wprowadziwszy się do Potoku po wojnie skierowali go w tą stronę, tłumacząc mu że musi wybrać coś praktycznego z czego w przyszłości utrzyma rodzinę i kiedy nadszedł moment gdy musiał obrać swój zawód, miał w głowie coś zupełnie innego niż ślusarstwo, lecz biernie poddał się presji rodziny i własnej niefrasobliwości. Kiedy jeszcze się uczył, bardzo podziwiał swych profesorów i zawsze go zastanawiało jakby to było być jednym z nich. Jako dziecko najchętniej bawił się w szkołę i miał to do siebie, że lubił wszystkich pouczać. Stąd małe grono przyjaciół, gdyż mimowolnie chciał instruować, każdego wokół, a mało kto lubi takie praktyki. Gdyby stał się tym kim chciał zawsze być, to pewnie znalazł by ujście swoich ambicji u uczniów, którzy chętnie albo poprostu z przymusu, musieliby słuchać jego wykładów. Poza tym miałby wielu kolegów takich jak on, z którymi na pewno znalazłby wspólny język. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie kształcił się na magistra, a teraz uważał, że jest już na to za późno.

Jego życiowe niezadowolenie, odbijało się na rodzinie, która musiała znosić charakter jej głowy. Żona, po wspólnie spędzonych latach, chyba zdołała się przyzwyczaić, choć może jej zbytnia skromność i cichość wynikały właśnie z tej sytuacji, iż musi znosić humory i nerwy męża, gdyż kiedyś potrafiła być bardziej otwarta, a wielu twierdziło, że z biegiem czasu zaczęło

znikać z niej życie. Mała Anitka – siostrzyczka Matiego, niewiele mogła zrozumieć z otaczających ją okoliczności, gdyż miała tylko trzy lata i osiem miesięcy i trochę później niż inne dzieci, dopiero zaczynała cokolwiek mówić. Dziewczynka zdawała się być całym światem dla mamy. W niej znajdywała szczęście i ukojenie trosk. Oddawała jej prawie cały swój czas, troszcząc się o pociechę, jednak surowy małżonek to właśnie ją najbardziej obwiniał o to, że ich jedyna córka, rozwijała się wolniej niż inne dzieci. Uważał, iż jej metody ogłupiają dziewczynkę i krytykował wciąż niemal wszystko co z nią czyniła. Kobieta nie była osobą wykształconą i nie potrafiła argumentować swych racji tak jak jej mąż, ale starała się jak tylko mogła najlepiej dbać o swoje pociechy. Po niezliczonych uwagach prawionych w jej stronę przez współmałżonka, zastanawiała się jednak czasami, czy może jednak naprawdę nie szkodzi jakoś swojej córeczce, martwiąc się o jej przyszłość. Uspakajali ją bliscy, oraz lekarze, zapewniając, że z dzieckiem jest wszystko w porządku i że to nie jest odosobniony przypadek, gdy rozwój wymowy nadchodzi troszeczkę później. Twierdzili też oni, że takie dzieci w pewnym momencie w niezwykłym tempie potrafią nadgonić swe zaległości, a nawet wyjść ponad przeciętność i zacząć odznaczać się wyższą niż rówieśnicy inteligencją. Kobietę uspokajały po części te zapewnienia, lecz mimo to, robiła też wszystko co mogła, by pomóc córeczce w rozwoju. Prawie cały swój dzień poświęcała Anitce, niestety w ten właśnie sposób Mateusz mógł poczuć się odrzucony. Dbała o niego i darzyła, chłodniejszą, lecz

dalej matczyną miłością, jednak nie znajdywała zbyt wiele chwil, które mogłaby poświęcić synkowi. Chłopak, rozumiał jej troskę i kochał ją bardzo tak jak też swoją młodszą siostrzyczkę, o którą również się martwił i nie okazywał im żalu o to, że został na drugim planie. Jedynie coś bardzo głęboko utkwione w sercu, drażniło go w niektórych dniach. Raczej nie zdawał sobie sprawy, skąd i dlaczego pojawiał się w nim dziwny smutek, który w niektórych momentach gnębił przez jakiś czas chłopca. Ktoś z boku, powiedziałby jednak, że temu jedenastolatkowi potrzeba ciut więcej miłości, oraz uwagi, których nie dawał mu ojciec i przez to wszystko też matka. Choć sam czuł się już duży, był jednak wciąż tylko dzieckiem i miał takie same potrzeby jak wszystkie inne dzieci.

– Mogę już iść? – zapytał ojca Mateusz, po wielu, ciągnących się w nieskończoność minutach.

– No idź – odpowiedział surowo tata – ale przynieś mi tutaj zaraz, zadanie domowe do sprawdzenia.

Chłopak z lekko skrzywioną miną, powłóczył nogami do swojego pokoju po tornister. Gdy przyszedł z powrotem, wyciągnął zeszyty i kolejno pokazywał je tacie. Ten sprawdzał wszystko uważnie i zwracał uwagę na najmniejsze szczegóły. Nawet gdy wszystko miał zrobione dobrze, obrywało mu się za nazbyt koślawe pismo lub brak marginesów. Ojciec nie chciał pozwolić

by jego syn tak jak on, skończył bez wykształcenia. Za wszelka cenę pragnął, by stał się on kimś ważnym, a nawet wielkim i w ten sposób próbował spełnić swoje własne ambicje. Przykładał olbrzymią wagę do jego nauki, nie zdając sprawy iż bardzo przy tym przesadzał, co mogło nieść ze sobą całkiem odwrotne skutki. Nie można było powiedzieć, iż nie poświęcał on swemu synowi uwagi, lecz to nie takiej uwagi chciałby dostawać od niego Mateusz. Tata, zupełnie nie troszczył się o to czym tak naprawdę interesował się chłopak. Nie pytał go nigdy o zwykłe sprawy i ich relacje, przybrały wręcz urzędowego oddźwięku. W ten sposób ten młody człowiek, czuł skrępowanie i dystans, do swego własnego ojca. Bał się mu o czymkolwiek powiedzieć, a stan ten pogłębiał się z każdym dniem.

Po długim sprawdzaniu lekcji Mateusz, w końcu mógł odejść, dostając wiele poleceń i uwag odnośnie swojej nauki. Przez prawie półtorej godziny, wypełniał nakazy ojca. Potem pobawił się chwilę z Anitką, zjadł zimny kisiel, a po posiłku wyjrzał przez okno by sprawdzić, czy u Szymona w pokoju jest zapalone światło. Zauważywszy, że tak, postanowił wyjść z domu by porozmawiać z kolegą. Ich mieszkania oddalone były od siebie zaledwie o jakieś niecałe trzydzieści metrów i czasem, choć musząc robić to głośno by się usłyszeć, gadali ze sobą przez okna, pokazywali znaki lub sprawdzali czy drugi jest w domu. Mateusz mieszkał w jednej z Kamienic przyległych do ulicy 4-go Maja, natomiast Szymon w szeregu zastępczych bloków,

schowanych za nimi z tyłu. Do tamtych skromnych, jednopiętrowych budynków, prowadziły, utwrdzone szosy bez asfaltowej nawierzchni. Był to solidnie ubity piasek, na którym, po obfitym deszczu tworzyło się wiele kałuż. Oprócz tego, od ich budynków, dzielił ich jeszcze trawnik, trzepak i piaskownica, a poza tym kilka linek na pranie, przyczepionych do drągów lub płotów, na których gdzieniegdzie wisiały czyjeś koszule, skarpetki lub spodnie.

Fragment powieści dla młodzieży „Łobuzy", której akcja dzieje się na Pomorzu w latach 90. Książka już wkrótce będzie dostępna we wszystkich polskich księgarniach internetowych lub bezpośrednio od autora: www.stylistuff.net

W piątek 30 sierpnia ukaże się rozmowa z autorem – muzykiem z Irlandii.

Metamorfozy metalu.

Richard Stankiewicz – opowieść o rzeźbiarzu.

Anna Rudek-Śmiechowska *(Warszawa)*



Richard Stankiewicz; Double Head, 1961 r., spawana stal, fot. Dayton Art Institute.

Z wykształcenia technik. Z zawodu żołnierz. W życiu, duszy i sercu rzeźbiarz. Amerykanin polskiego pochodzenia – Richard Stankiewicz. Jeden z czołowych artystów XX wieku w USA. Wymieniany w czołówce, obok Roberta Rauschenberga i Jaspera Johnsa.

Jojo dzieciństwa

Rodzicami Richarda byli polscy emigranci. Ojciec – Antonii z

zawodu był szewcem. Pochodził z okolic Augustowa. Wyjechał do Ameryki za chlebem, tak jak i większość wychodźców tamtych czasów. Matka – Róża, z domu Pietraszkiewicz przebyła Ocean za przyszłym mężem w 1906 roku. Richard urodził się w roku 1922, w mieście Filadelfia. Był trzecim i zarazem ostatnim synem tego małżeństwa.

Antonii żył pełną parą. Nie szczędził przyjemności, jak i ciężkiej pracy. W Stanach dorobił się sklepów obuwniczych, był także właścicielem kilku nieruchomości. Niestety, kiedy Richard miał trzy lata, ojciec zginął w wypadku kolejowym. Matka podjęła decyzję o zmianie miejsca zamieszkania. Przeniosła się z dziećmi do Detroit.

Twarde Detroit

Pani Stankiewicz poszukiwała nowego partnera życiowego. Ciągła obecność kandydatów powodowała rozkład rodziny. Dzieci uciekały na ulicę. Przemysłowe Detroit słynęło głównie z zakładów motoryzacyjnych. Pełne hałd żużlu, złomowisk, wysypisk, bloków… Było miejscem nieziemskich, dziecięcych wypraw i zabaw. Richard tworzył własny świat poza domem. Rozwijał delikatność, wrażliwość i wyobraźnię. Życie u boku agresywnego ojczyma alkoholika stawało się coraz bardziej

nieznośne.

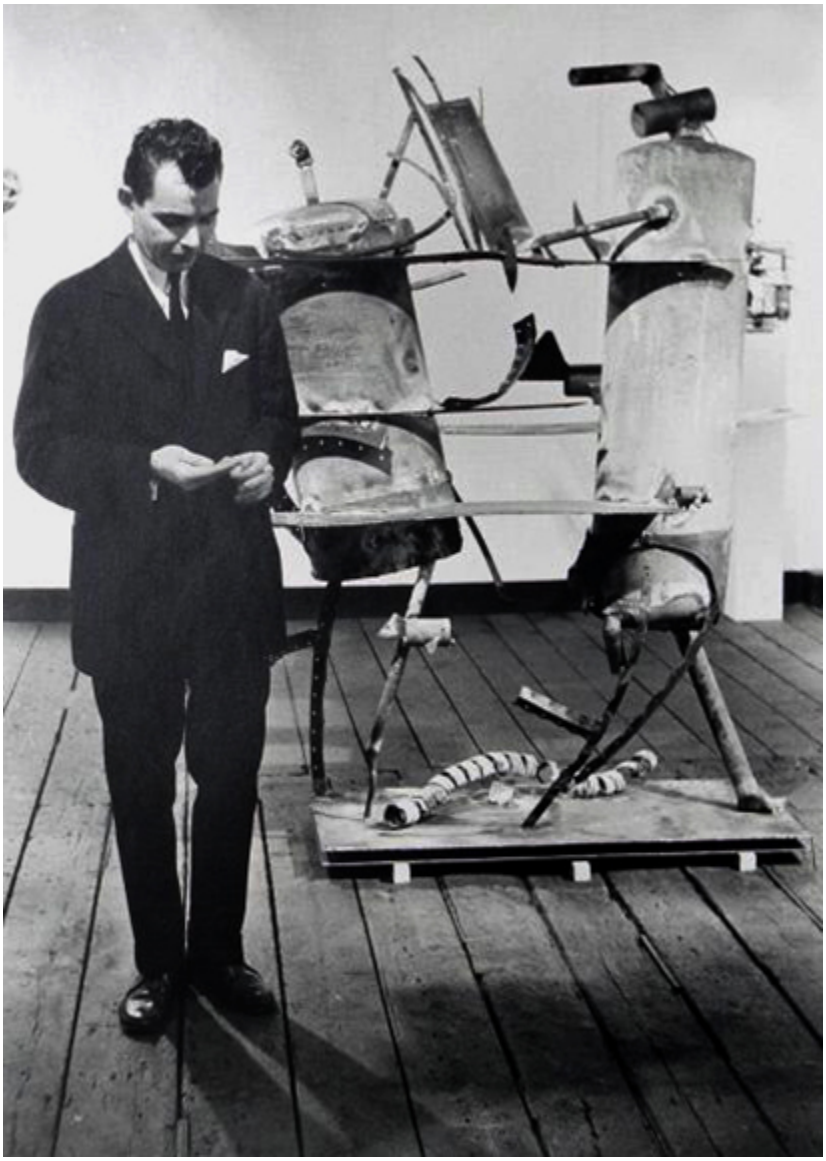
W 1940 roku ukończył Techniczne Liceum w Ditroit, gdzie uczył się m.in. projektowania maszyn, inżynierii, geometrii, jak również muzyki i sztuki. Powoli odkrywał obraz życia odmienny od robotniczej, szarej patologii. W czasach licealnych uhonorowany został stypendium Cranbook Academy of Art. Niestety z powodu sytuacji finansowej rodziny nie mógł pozwolić sobie na przyjęcie nagrody. Po ukończeniu szkoły znalazł prace w Ditroit, ale zabawił tam krótko.

Artystyczne wojsko

W 1941 roku zaciągnął się do Marynarki Wojennej. Wyszkolono go na radio operatora i w takiej funkcji pracował przez następne kilka lat. Będąc w wojsku stacjonował na Wyspie Aleutian, gdzie zajmował się przechwytywaniem japońskich wiadomości radiowych. W tym czasie rozpoczął prace twórczą, rzeźbiąc pierwsze dzieła z kości zwierząt.

W 1944 roku stacjonował w Seattle. Tutaj zaangażowany został w działania z artystami i studentami Marka Tobey, w ramach współpracy z Seattle Art Museum. W latach 1946-47 stacjonował na Hawajach. Klimat i urok wysp spowodował, że Stankiewicz

odkrył nowy talent. Zaczął malować pierwsze obrazy. Wkrótce potem wystąpił z armii i powrócił na krótko do Detroit.



Richard Stankiewicz w Stable Gallery, 5 kwietnia 1960 r.,, fot. kolekcja Freda W. McDarrah, Nasher Museum of Art and Duke University.

Mekki i poszukiwanie wyrazu

Sztuka jakiej zakosztował szybko dała o sobie znać. Stankiewicz

zdecydował się zamieszkać w światowej stolicy bohemy artystycznej – w Nowym Jorku. Rozpoczął naukę w Szkole Sztuk Pięknych Hansa Hofmanna. Mieszkał na ulicy Mott, a później Bond. W tym okresie Stankiewicz obrał ostateczną drogę dla swojej twórczości. Całkowicie porzucił malarstwo i skoncentrował się na rzeźbie.

W 1950 roku, wyruszył w swoją pierwsza podróż do Europy. Jesienią osiadł w Paryżu, gdzie zapisał się do Atelier Ferdynanda Leger'a. Sposób patrzenia na sztukę i metody nauczania prezentowane przez wielkiego artystę przyniosły Stankiewiczowi szybkie rozczarowanie. Postanowił zrezygnować z zajęć i szukać innych mistrzów. Przeniósł się do pracowni rzeźbiarza pochodzącego z Białorusi – Ossipa Zadkine'a, gdzie pozostał przez dłuższy czas. W tym okresie pracował głównie w terakocie.

Kariera

Latem 1951 roku powrócił do Nowego Jorku. Na ulicy Bond założył wraz z Jean Follett artystyczne studio. Uczestniczył także w tworzeniu Hansa Gallery, którą zakładał wspólnie ze studentami Hansa Hofmanna – legendy amerykańskiego, abstrakcyjnego ekspresjonizmu. W nowej galerii Stankiewicz kilkakrotnie pokazywał własne rzeźby. Ekspozycje odbywały się

od 1952 do 1957 roku. Dzięki pokazom wzrastało zainteresowanie pracami artysty.

W tym czasie Stankiewicz wypracował charakterystyczny dla siebie styl sztuki. Tworzył rzeźby z metalowych odpadów. Łącząc przeróżne elementy od śrubek, prętów po bojlery i tłoki. Powoływał złom do nowego życia. Jego dzieła przesiąknięte były ironią, jaka cechowała i samego artystę. Z tego czasu pochodzą takie rzeźby, jak: *Sekretarka* (1955), *Ptasi kochanek w trawie* (1957), czy *Kandydat* (1960).

Dzieła znalazły uznanie zarówno wśród krytyków sztuki, jak i kuratorów placówek jak Museum of Modern Art, czy Whitney Museum of American Art w Nowym Jorku. Od 1958 roku, przez następne siedem lat Stankiewicz reprezentowany był przez Stable Gallery. W czasie, w którym rozpoczął współprace z galerią uhonorowano artystę nominacją do udziału w Biennale w Wenecji. Stankiewicz występował jako twórca reprezentujący Amerykę. Niedługo później, w 1959 roku zaproszony został przez Dorothy Miller, do udziału w organizowanej przez kuratorkę wystawie *Sixteen Americans* (*Szesnastu Amerykanów*), odbywającej się w Museum of Modern Art. Oprócz Stankiewicza pokazano prace takich sław jak Jasper Johns, Ellsworth Kelly, Robert Rauschenberg, czy Frank Stella.



Richard Stankiewicz, Seated Lady, 1954 r., spawany metal, 49″ x 23″ x 17″.

Zdobycie Europy

Rzeźby Stankiewicza zyskały znaczne grono zainteresowanych i na starym kontynencie. W 1961 roku dzieła pojawiły się na wystawie *Le Nouveau Réalisme à Paris et à New York* w Galerii Rive Droite w Paryżu. Pontus Hulten z Moderna Museet w Sztokholmie, zaprosiło artystę do wzięcia udziału w wystawie *Rörelse i Konsten* (*Ruch w sztuce*). W ramach tego

projektu, na prośbę kuratorów, Stankiewicz stworzył specjalną kinetyczną rzeźbę.

Tego samego roku nastąpiła stabilizacja w prywatnym życiu artysty. Wszedł on w związek małżeński z Australijką – Patricią Doyle. Z żoną przeniósł się do Worthington w Massachusetts. W 1966 roku, Stankiewicz zerwał związek z Stable Gallery. Przestał wystawiać w Nowym Jorku. Odsunął się do bohemicznej społeczności uciekając w domowe zacisze, które uzupełniali dwaj synowie. Zaczął działać jako nauczyciel. Wykładał na stanowym uniwersytecie w Nowym Jorku, w Hobart School of Welding w Troy (Ohio) oraz Skowhegan School of Art w Maine.

Pomimo tego, twórcze koło wprawione w ruch nie ustało. Prace artysty podróżowały po całej Europie. Pojawiając się m.in. jako część ekspozycji *Six Young American Sculptors* (*Sześciu Młodych Amerykańskich Rzeźbiarzy*), która odbywała się w Amsterdamie, Bernie i Brukseli.



Richard Stankiewicz, fot. Nasher Sculpture Center.

Klasyka kangurów

W 1969 roku Stankiewicz udał się w podróż do Australii. Wyprawa dostarczyła artyście nowych doświadczeń. Pojawili się ludzie, pomysły, zmiany… Stankiewicz wprowadził ewolucję do warsztatu rzeźbiarskiego. Zmienił zarówno materiały, jak i techniki. Mając w Australii dostęp do szlachetnych tworzyw odrzucił wcześniejsze. Powodem zmian była estetyka materiałów.

Jak twierdził sam artysta po śrubach i innych odpadach bardziej widać ich pospolite, nieefektowne pochodzenie.

Nowe konstrukcje rzeźbiarskie modelowane były z belek i płyt stali profilowanej, a także ze stalowych cylindrów w różnych wymiarach i przekrojach. Czas tej sztuki nazwany został przez krytyka Jamesa R. Mellowa – drogą do klasyki. Według teoretyka Stankiewicz porzucił aspekt społecznej satyry, która dotychczas wypowiadała się poprzez jego sztukę. Rozpoczął okres skoncentrowany na komponowaniu, tworzeniu form rzeźbiarskich. Uporządkowana abstrakcja geometryczna.

Zabriskie Gallery

W 1972 roku Stankiewicz powrócił do Nowego Jorku z wystawą indywidualną. Występował jako artysta zaangażowany przez Zabriskie Gallery. Od tej pory po dzień dzisiejszy, galeria ta jest jedynym przedstawicielem Stankiewicza w świecie.

Miejsce założyła Virginia Marshall Zabriskie, w 1954 roku. Pierwsza siedziba mieściła się w Nowym Jorku. Galeria święciła triumfy promując młodą sztukę amerykańską. Koncentrowała się głównie na malarstwie i rzeźbie, ale wprowadzała do repertuaru także fotografie. W latach osiemdziesiątych posiadała już trzy

oddziały. Dwa w mieście gdzie powstała i jeden w Paryżu.

Dzięki rozpiętości terytorialnej oraz wpływom galerii Stankiewicz otrzymał nieobliczalne możliwości. Jedna z szans pojawiła się w roku 1977, kiedy to w Paryżu nastąpiło otwarcie Centrum Pompidou. Na ekspozycji inaugurującej zaprezentowano pracę *Europa on a Cycle* autorstwa Stankiewicza.



W East Garden w 1976 r. Rzeźbiarz Richard Stankiewicz i dyrektor galerii Nancy Liddle na tle rzeźby „Bez tytułu”.

Reinkarnacja

Rok 1978 przyniósł artyście rozwód z żoną, a kariera nabrała

rozpędu. Nancy Liddle, dyrektor Art Gallery w State University of New York (Albany), zorganizowała retrospektywę twórczości Stankiewicza. Ekspozycja pokazywana w trzech muzeach w północno-wschodnich Stanach, spotkała się z podziwem i aprobatą.

W 1982 roku, artysta wyruszył w podróż do Paryża. Celem wyprawy była współpraca przy wystawie przygotowywanej w Zabriskie Gallery. Otwarcie ekspozycji planowano na wiosnę. Niestety stan zdrowia artysty pogorszył się. Choroba zmusiła go do powrotu do Stanów.

27 marca 1983 roku Richard Stankiewicz zmarł w domu, w Worthington.

Teoria szufladek

W publikacjach dotyczących amerykańskiej historii sztuki, artysta wymieniany jest jako odkrywca i prekursor rzeźby budowanej z połączonych kawałków zardzewiałego żelaznego złomu, *American iron sculptor assembling*. Dzięki swoim umiejętnościom zmienił definicję sztuki, która władała Nowym Jorkiem w latach 50. Jego twórczość przepełniały humor i poezja. Początkowe formy z terakoty zamienił na tematyczne metalowe

asamblaże, które ostatecznie przekształcił w abstrakcje geometryczną czystej formy.

Aby nadać twórcy miejsce w historii sztuki rozpoczęto liczne klasyfikacje. W 1956 roku Hilton Kramer, nowojorski krytyk, doszukał się u Stankiewicza korzeni w ready – mades Marcela Duchampa i dziełach niemieckiego dadaisty Kurta Schwittersa. Twierdził, iż Stankiewicz bazuje na *odkrytym przez awangardę lat dwudziestych przypadku, jako czynniku niepokoju rewolucjonizującym myślenie artystyczne*. Inni zaliczali Stankiewicza do nurtu neo-dada, który wpłynął w świat europejskiej i amerykańskiej awangardy i stał się popularny w twórczości takich artystów jak: Mark di Suvero, czy David Smith. Sam Stankiewicz wolał unikać napuszonych teorii, które oblepiały jego działa. W twórczości najważniejszy był dla niego proces tworzenia, który opierał się na przypadku, zaskoczeniu, a tym samym zabawie.

Życie w sztuce

Śmierć artysty nie zakończyła jego kariery. Wpisany w dzieje sztuki amerykańskiej, do dnia dzisiejszego zajmuje poczytne miejsce. Dzięki Zabriskie Gallery jego prace nieustannie pokazywane są publiczności (np. od 23 stycznia do 10 marca

2007 roku w galerii prezentowano cztery rzeźb Stankiewicza).

Artykuł pochodzi z portalu: Kontynent Sztuki / Art Continent

Pierwodruk: Metamorfozy metalu, o twórczości Richarda Stankiewicza, „Kultura i Biznes”, Łódź, Nr 40: styczeń – luty 2008, s. 14.

Badacze literatury w powojennym Londynie



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Moją pracę doktorską z literatury hiszpańskiej prezentowaną w Uniwersytecie Londyńskim egzaminował Szkot, prof. Robert D.F. Pring-Mill (1924-2005) z St.Catherine College, Oksford. Kiedy wręczył mi na egzaminie zeszycik zapisany drobnym druczkiem maszynowym p.t. "Sto uwag o tezie Floriana Smieji", pomyślałem najgorsze. Pomyliłem się. Skrupulatna drobiazgowość i pracowitość, to były normalne cechy tego wybitnego naukowca. Potem się nasze drogi rozeszły i dopiero po pięćdziesięciu latach, dzięki Ninie Taylor-Terleckiej udało mi się z emerytowanym hispanistą nawiązać kontakt i wymienić przed jego śmiercią

serdeczne listy. W jednym z nich znalazła się notka, która może zainteresować polską opinię.

> W moim mszaliku z czasów wojny nadal tkwi obrazek św. Barbary Patronki Polski Podziemnej, który weń wkleiłem na krótko przed wyjazdem na Daleki Wschód (moja wojna toczyła się w Indiach, Burmie i ,jak wtedy mówiono, Malajach). Ten mały mszalik towarzyszył mi przez cały czas, wraz z głębokim sentymentem dla sprawy polskiej: próbowałem nawet zrezygnować z armii – byłem w Black Watch – w dniu, w którym Rząd Brytyjski uznał Komitet Lubelski, co ja uważałem za ostateczną zdradę sprawy, za którą wszyscy walczyliśmy (oczywiście, rezygnacji mojej nie przyjęto, gdyż byłem po uszy uwikłany w planowanie tego, co miało być następną operacją: odzyskanie Półwyspu Malajskiego). Do moich cenionych pamiątek należy podpisana fotografia gen. Bora-Komorowskiego, która stała na mojej półce z książkami w Kolegium św. Katarzyny w Oksfordzie.

***

Przez kilka lat byłem asystentem dr Jerzego Pietrkiewicza na

Uniwersytecie Londyńskim człapiąc na najwyższe piętro aneksu Szkoły Nauk Słowianskich przy Russell Square. W czasie naszej współpracy Pietrkiewicz zaczął publikować swoje powieści angielskie. Przypominam sobie, kiedy wydał kolejną powieśc "Loot and Loyalty" o Dymitrze Samozwańcu. Skoro przedzieżgnął się w powieściopisarza angielskiego, zmienił nazwisko na Peterkiewicz, ponoć to miało ułatwić tubylcom czytanie jego nazwiska. Chciał mi podarować egzemplarz nowej książki i ruszyliśmy do najbliższej księgarni. Usłużny subject usłyszawszy "Peterkiewicz" bez zastanowienia się zaprowadził nas do półki na "K".

Nikt nie zostaje latarnikiem



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

ŻONA

Poślubiłem najwłaściwszą osobę,

wielki ze mnie szczęściarz, że mnie zechciała.

W szczytowym osiągnięciu mego życia

okazała się wspaniałą partnerką

i czułą matką czworga zdrowych dzieci.

Dożyłem kopy lat pod jej urokiem

więc się Budrysom wcale nie dziwuję.

KORZYŚĆ

Bergson przyrównał śmiech do morskiej fali

która nierzadko przynosi nam gorycz.

Ludowe porzekadło, śmiech to zdrowie

tak samo ma swoje uzasadnienie

gdyż wydobywa na wierzch zaburzenia

ładu zalegającego we wnętrzu

zdrowego społeczeństwa, jest więc korzyść.

POMOC

Dźwięk komputera oznajmia nam akcent

braterstwa, sympatii przyniesiony

dobrą falą przez globalny światłowód.

Nikt nie zostaje latarnikiem, w sieci

znajdzie pomocną rękę, towarzystwo,

zajęcie, ważną informację, choćby

podobnego do siebie samotnika.

POSTĘP

Dawniej szokowały nas doniesienia

o zamienianiu kościołów na składy

oraz magazyny przez bezbożników.

Dzisiaj otrzyjmujemy wiadomości

o przebudowie świątyń na mieszkania

hotele, restauracje czy przedszkola.

Lecz teraz robią to zwyczajni ludzie

bo wyzwiskami się nie obrzucamy.

KOMUNIKACJA

Kiedyś za pociechę służyła niewiadoma.

Brakowało zwiastuna szybkich wiadomości

trzeba się było domyślać, ufać, obawiać.

Teraz są środki błyskawicznego przekazu.

Można oglądać to, co się dzieje na świecie,

widzieć swojego człowieka na drugiej półkuli,

mieć na ekranie czarno na białym wybrankę,

wiedzieć czy ona kocha, lubi lub żartuje.

Jest także i druga strona medalu.

Mamy dylemat czy w tej sytuacji

martwić się, gdy ekran milczy, żałować

nieobecności dobrego responsu.

RACHUNEK SUMIENIA

Iluż to z nas zdołały w życiu uwieść

efemerydalne ideologie

przez patriotyzm, oportunizm, czy strach?

Ogłoszone dogmatami wiecznymi

okazały się tylko ułudami,

egzystancjalnym omamem, potrzebą

ostoi zadufanego człowieka

którego *non serviam* nie potrafiło

sforsować cmentarnego ogrodzenia

i pomarniały utopijne -izmy

najbardziej zacietrzewionych sekciarzy.

Próbujemy nie pamiętać pomyłek

ani zadośćuczynić w pokorze.

Ale czemu brnąć w niedorzeczne ślady?

RÓG OBFITOŚCI

Nawiedził mnie wielki urodzaj wierszy

tak jakby się rozlał róg obitości

nimfy Amaleti, bania z poezją

jak to nazwano w naszej szerokości

i to mimo słabej pamięci, braku

słów pod ręką, niewielkiej mobilności,.

Czuję wdzięczność, że mogę być aktywny

i zdolny jeszcze współtworzyć, chociażby

w miniaturze, korzystając z boskiego

daru nimfy, skromny wirtualny świat.

OBRÓBKA WIERSZA

Wpisuję do komputera jakiś wers

który mi podszepnie spolegliwy duch

i poddaję wnet obróbce skrutacji,

która wzbogaca go szlifując kanty

i radzi zmiany trafiając słabizny.

Pilnuje formy, dogląda urody.

Tylu współpracujących, że aż dziwi

jeden podpis autora pod całością.

STARZY POECI

„Więc jednak żyje się

za długo pisząc wiersze”

tak tłumaczy czy ostrzega Różewicz

w ambiwalentnych słowach, ja rozumiem

że czynność przystoi bardziej młodzieży

a wiekowi poeci zrezygnować

powinni, bo nikt ich nie będzie słuchał

wszak chcąc trzymać z młodymi, ośmieszą się

tylko przyjmując modne rekwizyty

i używając nie swego języka.

Nie jest ciekawa to dlań perspektywa

więc bez kozery widzi wszawe słońce.

NOWICJUSZ

Jest coś wzruszającego w ignorancji.

Sąsiad wystawił kubły, bo dziś termin,

ale nie wziął pod uwagę, że święto

przesunęło o dzień zbieranie śmieci.

Cała wystawa na oczach sąsiadów

zyskała nowicjuszowi sympatię.

Wkupił się swą niewiedzą w kumoterstwo.

Bo nic tak nie cieszy, jak możność rady

i chęci pokazania naszej wiedzy.

ZAJĘCIA

Żona należała do wędrowniczek

i to harcerstwo już w niej pozostało.

Ćwiczy na sali trzy razy w tygodniu

i często chodzi na długie wędrówki.

Ja wtedy pozostając w domu, piszę,

na wiersze mienię kinetyczne ruchy.

Nasza współpraca ma cechy wzorowej.

Nie zawadzamy sobie w dyscyplinach:

Stale z małżonką chodzę na spacery,

ona niekiedy czyta to, co piszę.

„Szare wołanie”. Poezja pamięci.

Nina Cieślik-Wilk *(Jasło)*

Od starożytności pamięć fascynowała ludzi, jako zdolność pozwalająca zachować i przekazać nie tylko własne,

indywidualne doświadczenia, ale także historię, kulturę, dorobek społeczeństwa, czy wspólnoty. Fenomen pamięci opisuje platońsko-arystotelesowska metafora śladu, augustiańska metafora „żołądka pamięci", nietzscheańska metafora „pasącego się stada", kierkegaardowska „trąbka pocztyliona", freudowska metafora „magicznej tabliczki". Metafory te wskazują na dwa, biegunowo różne, sposoby pojmowania pamięci: jako zatrzymanie i odtwarzanie minionego oraz jako docieranie do pierwotnych, nieraz nieuświadomionych mechanizmów, by poznać głębię siebie i zmienić teraźniejszość. Podmiotem pamięci zawsze pozostaje pojedynczy człowiek, osadzony jednak w ramach określonego czasu i przestrzeni. Konsekwencją tego jest wielowymiarowość zapisywania śladów pamięci indywidualnej. Pamięć nie działa jednak jak idealne archiwum baz danych, a wspomnienia można nie tylko odczytywać różnorako, ale i korygować.



Florian Śmieja

Pamięć stanowi budulec życia w wymiarze jednostkowym i zbiorowym, które Florian Śmieja próbuje utrwalić na kartach tomów poetyckich, prozatorskich, reportaży, listów i wywiadów. Wspomnienia przywoływane, ze świadomością niedoskonałości pamięci, stanowią jakby biografię przetworzoną i tworzącą specyficzny dla autora *Późnych notacji* krąg tematyczny oraz materiał twórczy, jakim są biografia – pamięć – autobiografia. Śmieja dzieli wspólnotę doświadczenia z pisarzami, którzy na

skutek drugiej wojny światowej znaleźli się poza granicami kraju, by później świadomie na emigracji pozostać. Wiersze przez niego pisane są wyrazem doświadczeń indywidualnych, ale i wspólnotowych – poszukiwanie tożsamości, próby asymilacji, oswajania londyńskiej, a następnie kanadyjskiej przestrzeni, stosunek do kraju dzieciństwa i dystans wobec Polski współczesnej. Poeci londyńskiej grupy „Kontynentów" opuszczali kraj w wieku kilku (Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jerzy Sito) lub kilkunastu lat (Jan Darowski, Zygmunt Ławrynowicz, Bolesław Taborski, Florian Śmieja). W ich indywidualnych biografiach i poezji romantyczny mit sielskiego dzieciństwa zastępowała formuła „niedorzeczywistości"[1]. Miejsce dzieciństwa, które według Małgorzaty Czermińskiej jest decydujące „dla całej biografii pisarza, zwłaszcza intelektualnej i duchowej"*[2],* przestało oznaczać na skutek II wojny światowej i emigracji jedyny znany punkt odniesienia.

W poezji Śmiei nawroty pamięci nie służą poszukiwaniu proustowskiego „czasu utraconego". Powrót do korzeni – śląskiego dzieciństwa – jest dla podmiotu lirycznego nieunikniony, stanowi stabilne centrum wartości. Badacze i krytycy zwracali uwagę, że poezja autora *Późnych notacji*, mająca silne podłoże autobiograficzne, konstruowana jest przez pamięć i biografię, elementy wzajemnie się warunkujące.

Zbigniew Andres podkreśla, że pamięć:

> […] jako przedmiot i jako podmiot tej poezji wiąże się z kategorią egzystencjalnego „ja” u źródeł, którego leży nie ujawnione na zewnątrz pytanie – „kim jestem?”, ale i „ja” kulturowego, zmierzającego ku sondowaniu własnego miejsca, zarówno wśród zjawisk natury podlegającej apriorycznym prawom, jak i wśród ludzkich wspólnot[3].

Zdaniem Jana Wolskiego, Śmieja nie uprawia poezji nostalgii, ale poezję pamięci, zaś uwagę kieruje ku przyszłości. Przeszłość usiłuje poeta wyrazić najpełniej z perspektywy uczestnika zdarzeń i obserwacji literackiej. Zatem pamięć to:

> po prostu współczesne zapisywanie zdarzeń, zaś nostalgia rodzi się w momencie uświadomienia sobie nieodwołalnej utraty, na przykład dzieciństwa, młodości, miejsca rodzinnego, ziemi ojczystej. Śmieja dostrzega w pamięci jej filozoficzną naturę, związaną z kondycją człowieka w ogóle, nieograniczoną tylko do Polaka[4].

Pamięć bywa wybiórcza, dokonuje selekcji i przywołuje fragmenty w sposób wycinkowy, dlatego, powtarzając za Józefem

Wittlinem, każdy obraz świata odbity w tym „najgroźniejszym fałszerzu rzeczywistości można uznać za rzeczywistość naszej duszy”[5].

Te dwie kategorie: pamięć i biografia, mają również znaczenie dla odczytywania sensu poezji pozostałych członków grupy „Kontynentów”[6]. O ile w poezji Bogdana Czaykowskiego odnaleźć można literacki zapis pożogi wojennej niszczącej psychikę dziecka, o tyle Śmieja dopiero w prozie wyraża swoje przeżycia związane z II wojną światową. Nie ulega jednak wątpliwości, że chociaż większość członków tej grupy nie uczestniczyła bezpośrednio w działaniach wojennych, to wojna stanowi cezurę w ich biografii. W brutalny sposób pozbawiła ich „sielskiego dzieciństwa” i rzuciła poza granice ojczyzny.

Zapamiętana z dzieciństwa rzeczywistość, wartości i postawy raz po raz powracają w tkance wierszy Śmiei, stają się motorem konkretnych działań i wyborów, ponadto są rodzajem „spowiedzi autobiograficznej”[7].

Jakie jest to dzieciństwo, którego pamięć podmiot liryczny nosi ze sobą „jak szkaplerz / programową busolę”? Odpowiedź na to pytanie stanowi trudne zadanie, bowiem należy ją zbudować z fragmentów obrazów, szczątków wspomnień. Losy podmiotu lirycznego wierszy Śmiei, często obdarzonego cechami samego autora, mogą stanowić przykład życia jednostkowego, ale i być

historią całej grupy ludzi, którzy pojawili się na emigracji w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku. W wierszu o wymownym tytule *Inwokacja*, stylizowanym na dziękczynno-pochwalną modlitwę, znaleźć można poetycką deklarację, manifest wartości śląskich. Warto przytoczyć ten krótki utwór w całości:

> Bądźcie mi pozdrowione
>
> górnośląskie Opole
>
> Kamieniu Odrowążów
>
> góro Świętej Anny
>
> starki Pana Jezusa
>
> gwarą szepcząca Odro
>
> Gogolinie z piosenki
>
> Dobrzeniu, Siołkowice
>
> Arkadio mego dzieciństwa:

> was noszę z sobą jak szkaplerz
>
> programową busolę
>
> na tętno małej ojczyzny
>
> jej ludzi od wieków tamtejszych
>
> cierpliwych i utrudzonych
>
> Ziemio krzyży przydrożnych
>
> bocianów, ładu, wiary.
>
> (*Inwokacja* z tomu *Późne notacje*, s. 42)

Edward Zyman, od 1983 roku mieszkający w Kanadzie, stosując podobną do Śmiei poetykę, wyrażającą niezgodę na zdewaluowanie podstawowych wartości i poszukiwanie człowieka, w jednym z wierszy, zaczynającym się incipitem „każdy z nas”, podkreślającym wspólnotowość losów emigrantów, bezpośrednio wyraża potrzebę pogodzenia noszonej w sobie „prywatnej ojczyzny” z obczyzną:

każdy z nas

ma w sobie

jakąś małą

prywatną ojczyznę

z każdym dniem

pragniemy jej

coraz bardziej

coraz usilniej

chcemy do niej wrócić

pojednać się

z nieżyjącym ojcem

z modlącą się nieustannie

matką

z zawsze czułą

i otwartą

ziemią

(z tomu *Jak noc, jak sen*, s. 20)

Szczególnie dużo utworów związanych z „małą ojczyzną” zgromadził Śmieja w tomie, powstałym w 1998 roku, pod znamiennym tytułem *Wśród swoich*, zawierającym teksty o tematyce śląskiej. Wiersz otwierający ten tom koresponduje z przytoczonym powyżej. Oto podmiot liryczny składa uniwersalne wyznanie będące zarazem przesłaniem:

> Świat może być ojczyzną
>
> i nieraz nią bywa
>
> lecz matka jest jedna
>
> i święta ziemia
>
> która cię zrodziła.
>
> (*Przesłanie* z tomu *Wśród swoich*, s. 5)

Metaforyczne nazwanie ziemi[8] „matką” podkreśla dziecięcą więź, poczucie przynależności do utraconego świata. Doprecyzowanie „świętej ziemi – matki” i przeciwstawienie jej „światu – ojczyźnie” wskazuje prywatność, bo to, co lokalne, można poznać i zrozumieć. Nie jest to romantyczny model „ojczyzny – matki”, ale bezpośrednie wskazanie na ziemię, „która cię zrodziła”, w tym wypadku na Śląsk. W wywiadzie udzielonym Markowi Basterowi, Śmieja podkreślał swój związek z Górnym Śląskiem i potrzebę przynależności do małego skrawka ziemi:

> Dla mnie Śląsk był czymś esencjalnym. Ja nie patrzę na Śląsk w kategoriach kładki, która mnie prowadzi do Warszawy. Ani nie patrzę z perspektywy pana tej ziemi. Dla mnie to nie jest jedna ziemia, tylko ta ziemia. Utracona […]. Symbolem tego matecznika jest dom rodzinny. A kiedy nie ma już rodziców, to pozostaje ziemia[9].

W tym kręgu mieszczą się wiersze sławiące śląski krajobraz, „pola strzelistych skowronków złaknione”; mądrość ludową matki opolanki, powtarzającej powiedzenia typu: „wychodź z pościeli, gdy otworzysz oczy / co się nie zdarzy dzień będziesz miał dłuższy”; ojca, którego pamięć przywołują Zaduszki; stryja, którego „twarz miała szarość / wyczerpanej ziemi pod jesień / który nie wiedział co to zazdrość ludzi, co na świecznik / wspiąć się nie zdołali, / ani zgryzota zwycięstwa / okupionego

spodleniem”; gwarę będącą »jurnym buszowaniem« w urodzaju / zaklęciem odmykającym sezam”; określające z plastyczną dokładnością śląską przestrzeń, na którą składają się choćby opolskie drogi na „pacierz mierzone”; Stare Siołkowice czekające na gospodarza ogarniającego „tę ziemię przemienionych kołodziejów / o której poeta śnił / pełną kumkania i gry świerszczy / skowronkami dzwoniącą oazę / obrzeżoną cichym nurtem Odry”. To portrety Ślązaków „wybornych majstrów / schludnych śląskich osad”; ludzi ciężko pracujących, których „braterstwo w podziemiu się święci, w otwartych piecach / na klęczkach, w wodzie, w tajonych nieszczęściach / w wybuchach zdolnych z nagła zerwać wszelkie misterne przędze małych kalkulacji”; ludzi, których „w żylastą chce się pocałować rękę”, wiernych tradycji i religijnym nakazom moralnym, a także gwarze, której podmiot liryczny nie dał sobie wydrzeć „choć się sprzysięgli na nią poloniści / i wyszydzają zza Przemszu cwaniacy / […] / W niej przechowuję mój Śląsk nieskażony / jego cierpliwych i znękanych ludzi”.

Przestrzeń domu w poezji Śmiei waloryzowana jest dodatnio, staje się sferą sacrum zapewniającą poczucie bezpieczeństwa[10]. Dom pojmowany jest w tej poezji jako miejsce wyjścia i dojścia, jako ojczyzna, ale z silnym akcentem lokalności, jako kolebka wartości fundamentalnych i jako istotny komponent samookreślenia. Powroty do domu – zarówno literackie, jak i te fizyczne – mają moc scalania różnorodnych

doświadczeń życiowych w sposób, który może uchronić osobowość poety przed utratą samoświadomości i tożsamości. W poetyckim obrazowaniu Śmiei dom daje ochronę przed intruzami czy warunkami atmosferycznymi. Jest też miejscem wyciszenia. Zarówno ten „opisany z pamięci", jak i budowany w Kanadzie dom, łączący w sobie wartości dwóch światów: minionego i obecnego.

Takie pojmowanie domu lokuje go w antropologicznym centrum, w którym:

> dom, to przede wszystkim prymarny warunek aktywności człowieka, który zawsze wychodzi ku światu z jakiegoś „u siebie", i który też zawsze może do owego „własnego" miejsca powrócić, w domu się schronić[11].

Powrót do „małej ojczyzny", miejsca będącego symbolem wartości najwyższych, gwary stanowiącej najintymniejszą więź ze „swoimi", daje poczucie schronienia, staje się swoistą terapią. Krajobraz rodzinny, oswojony, emocjonalnie bliski w poezji autora *Czuwania u drzwi* stanowi stały punkt odniesienia, nie jest jednak miejscem, w którym podmiot liryczny prowadzi codzienne życie. W przypadku Śmiei, wartości wyniesione ze śląskiego domu rodzinnego stały się fundamentem do budowania nowego siedliska i obroną przeciwko natarczywości kraju

osiedlenia. Wśród tych wartości wymienić można: zachowanie zdrowego rozsądku, szacunku do pracy, rodziców, ludzi oraz pokorę wobec życia. Nie należy zapominać, że Śmieja to emigrant i z tej perspektywy patrzy na sprawy swojego matecznika oraz Polski, a obraz ojczyzny[12], w tym lokalności, z tej perspektywy pozbawiony jest mitologizacji rzeczywistości:

> Ojczyzna – to także facet zalany
>
> po każdej wypłacie, chamski milicjant
>
> w paszportowym biurze tłum niecierpliwy
>
> dziwka i kanciarz.
>
> (*Ojczyzna* z tomu *Późne notacje*, s. 81*)*

W swoich utworach odtwarza Śmieja obraz Polski z czasów stanu wojennego, pełnej dramatycznych i moralnie dwuznacznych scen. W wierszu *Polski sierpień* przywołuje relacje z pogrzebu, w którym uczestniczyli razem, chociaż osobno „syn z internowania,

przyjaciele […] obok łapsów w orszaku, przygodnych kamer, gapiów”. Ostatnie pożegnanie obrazuje specyfikę tamtych czasów, które tworzą „z takiego nieszlachetnego stopu / kształt plemiennej historii”[13]. W wierszu *Patrioci* porusza problem nadużywania słowa „patriotyzm”, które „dzisiaj” znaczy wszystko i nic, ponieważ:

> Byle obwiś ma dzisiaj gębę pełną Polski,
>
> bo trudno w naszych czasach nie być patriotą.
>
> Jest nim protestujący i patrzący z boku,
>
> siedzący nad kieliszkiem albo za kratkami,
>
> milicjant strzelający i ginący górnik,
>
> noszący transparenty i noszący pałki,
>
> ci co ratują życie i co umierają
>
> […]

> Jaki inny kraj pomieści tylu patriotów?
>
> (*Patrioci* z tomu *Jeszcze wiersze*, s. 24)

Śmieja, dając wyraz tęsknoty za stronami rodzinnymi zachował zmysł krytycyzmu. Owszem, opiewa piękno śląskiej przyrody, tradycji, ale daleki jest od idealizacji. Co więcej, ma świadomość, że ten zapamiętany przez niego świat nie istnieje. Emigracja nie spowodowała u niego roztkliwiania się i nadmiernego sentymentalizmu, ale wpłynęła na zmianę widzenia i myślenia. Rodzinna ziemia jest ważna, bo w niej ma się swój początek i korzenie, ale można wobec niej zachować dystans. A jednak wartości, które wyniósł z domu rodzinnego, stały się jego orężem i pozwoliły zachować mu zdrowe racjonalizm wśród życiowej zawieruchy, zaś emigracyjna perspektywa stworzyła możliwość pisania o najnowszej, dramatycznej historii Polski bez cenzury.

Miejscem stabilizacji stała się dla Śmiei Kanada, do której wyjechał w 1969 roku, poszerzając grono osiadłych tam polskich pisarzy takich jak: Zofia Bohdanowiczowa, Danuta Bieńkowska, Bogdan Czaykowski, Wacław Iwaniuk, Andrzej Busza i inni[14]. Wyjazd ten stanowił dla pisarza i jego rodziny kolejne (po Londynie) emigracyjne wyzwanie, tym razem o ściśle określonej

ramie czasowej (rok) i dające możliwość wykorzystania nadarzającej się okazji, „żeby zobaczyć, jak ten Nowy Świat funkcjonuje”[15]. Pierwsze wrażenie po przybyciu do London wpłynęło na radykalną zmianę miejsca życia całej rodziny (w chwili wyjazdu najmłodszy syn pisarza miał sześć miesięcy). Hiszpańsko-polska pogoda (słońce w lecie, śnieg w zimie), nowoczesne i czyste miasto, warunki pracy i przyjęcie Śmiei przez współpracowników zaowocowało podjęciem decyzji o zmianie tymczasowości i obcości doświadczanej w Londynie na powolne wrastanie w kanadyjską wielokulturowość.

W wierszu będącym zarazem tytułem tomu poetyckiego z 1986 roku „Not a tourist” znajdziemy osobiste oraz jednoznaczne wyznanie człowieka, którego pragnienia budowania i bycia „swoim” w nowym miejscu wyraża się słowami:

> I say to myself: no tourist am I,
>
> a bird of passage without a warm nest of my own,
>
> I do not merely journey with a cold lens.
>
> Here I want to lay a hand to building a house

> to be there when the forest is cleared, horses broken
>
> and man remade from his refugee tatters.
>
> […]
>
> Not a tourist now. I inhale
>
> the clear air that is free and underammeled.
>
> (*Not a tourist* z tomu *Not a Tourist*, s. 11)

Wyznanie to uczynił Śmieja, co znamienne dla jego poezji, pierwotnie w języku polskim w tomie *Wiersze* z 1982 roku:

> i mówię do siebie: nie jestem turystą,
>
> ptakiem przelotnym bez ciepłego gniazda,
>
> nie idę tylko z zimnym obiektywem.

> Tu chcę przyłożyć rękę do stawiania domu,
>
> będę przy karczowaniu lasu, ujeżdżaniu konia,
>
> budowaniu człowieka z uchodźczych łachmanów.
>
> […]
>
> Więc nie jestem turystą, pełną piersią chłonę
>
> czyste powietrze, wolne i bez granic
>
> (*Nie jestem turystą* z tomu *Wiersze* s. 87)

Podmiot liryczny tego wyznania „nie jest turystą”, ale w pełni świadomie chce budować więź z krajem osiedlenia. Nowe życie w Kanadzie rozpoczyna od budowania domu, karczowania lasu, ujeżdżania konia, od symbolicznych czynności służących zbudowaniu swojej enklawy bezpieczeństwa. Świadomie podjęta decyzja osadzona jest w naturze. Charakterystyczne dla poezji Śmiei zwracanie uwagi na ład oraz odwieczne trwanie natury i tym razem korelują z przemyślaną i świadomą decyzją o budowie swojego miejsca. Janusz Pasterski nazwał ten wiersz

„jedną z najbardziej wyrazistych deklaracji akomodacyjnych w poezji emigracyjnej”[16]. Kanada – świadomie wybrane miejsce osiedlenia – staje się w przestrzeni tekstów Śmiei schronieniem przed „kataklizmami zagniewanych mocy / pobożną wieżą Babel”; krajem, który poprzez konglomerat kultur i ludzi próbuje „wypalić nowego człowieka / żadną granicą nieobciążonego / nie niewolnika plemiennej historii”, ale także krajem, który wymykając się schematowi „ziemi obiecanej”, staje się „lodowatym miejscem wygnania”[17]. Wybiera więc Kanadę, ale tak jak w przypadku Polski wybiera ją w skali mikro, a nie makro. Kanada, to w tkance wierszy przede wszystkim okolice jeziora Huron. O sile i ważności decyzji dotyczącej „budowania domu” świadczy fakt, że motyw ten powraca także w tomach wspomnieniowych poety.



I jak nagromadzenie wierszy o tematyce śląskiej znaleźć można w tomie *Wśród swoich*, tak szczegółom kanadyjskiej przyrody poświęcony jest tom *Nad jeziorem Huron*. Znów, poprzez mocne osadzenie w konkretnym krajobrazie, podmiot liryczny wrasta w kanadyjską przestrzeń, której wybór uzasadnia słowami: „Wybrałem Kanadę, choć żywicą nie pachnie[18] / […] / Chciałem mieć śnieg w zimie, latem chór świerszczy / ogromne niebo, mapę niebieską od jeziora" (*Uzasadnienie* z tomu *Wiersze)*. Wydaje się, że Śmieja w polu zadomowienia bliski jest

Adamowi Tomaszewskiemu, który nową, kanadyjską ojczyznę akceptował:

To już nasz kraj, tutejsza rzeczywistość jest naszą rzeczywistością, jesteśmy Kanadyjczykami polskiego pochodzenia. Powiązania z ojczyzną przodków. Tak. Aż do śmierci. Ale klonowy liść stał się i naszym symbolem. Z wyboru i z serca[19].

W kanadyjskich wierszach Śmiei konkret lokalnego krajobrazu to apologia spokoju prowincji. Bo tak jak w przypadku śląskiej przyrody, tak i tu prowincja – znowu skala mikro – jest miejscem przez podmiot liryczny akceptowanym i poszukiwanym:

> Chciałem mieć swoje miejsce
>
> rzeczywiste, żywe: konglomerat
>
> jest w gruncie rzeczy nieprzytulny,
>
> zlepek nie daje opar
>
> (*Kupiłem wieś* z tomu *Wiersze*, s. 66)

> A tak, wybieram się na prowincję. Świat
>
> tam deskami zabity. Nie ma teatru, kawiarnia
>
> jedna, pożal się Boże, i nie ekspresowa!
>
> […]
>
> Wypadnę z orbity spraw metropolijnych.
>
> […]
>
> Z sobą, rzecz jasna, bywać będę więcej
>
> Perspektywa niepewna, lecz zaryzykuję.
>
> *(Prowincja* z tomu *Wiersze*, s. 67*)*

Wieś zapamiętana z dzieciństwa sąsiaduje z kanadyjską prowincją równie cichą, lecz jednak wtórną wobec miejsc „gniazda” rodzinnego. A jednak i tu Śmieja wiernie odtwarza

topografię wybranego fragmentu krajobrazu. Oto pojawią się niemal plastyczne realia: „nocny szum jeziora Huron”, do którego „wlewa się Odra / umorusana Czarnawka, siołkowicka Brynica”, a także klucze dzikich gęsi, szop pracz, wiewiórka, zaskroniec, gęganie wracających pod wieczór ptaków, domek wzniesiony wśród wysokich tui / na karczowanej własnoręcznie polanie”.

Świat przyrody staje się alternatywą dla cywilizacji. Fauna i flora, zarówno polska, a w szczególności górnośląska, ta „opisana z pamięci”, jak i ta kanadyjska, na którą poeta spogląda, posiadają wymiar terapeutyczny. Śmieja nie kontempluje piękna przyrody, jej barw i nastrojowości. Przyroda jest dla niego związana z konkretem, realnością egzystencji i jej przemijalnością, dostrzega w niej analogię do ludzkiego losu i niezachwiane misterium życia: zdziwienie ptaków i ludzi budzi wyrzucone na brzeg napęczniałe ciało martwego bobra, które otacza „tumult mew wiecznie głodnych” (*Martwy bóbr*), „dialog jeziora z lądem nie ustaje”, mimo mijającego czasu gubiącego ślady obecności bliskiego człowieka (*Wydmy*), leniwiec „rosą sycony kontestator ruchu”, chociaż został pokonany przez „bardziej obrotnych”, ocalał znalazłszy schronienie w wierzchołkach drzew i tym samym nie zachwiał porządku i hierarchiczności świata (*Leniwiec*). W kanadyjskich wierszach, oprócz przyrody, poeta zaczął upominać się o pamięć zapomnianych rdzennych mieszkańców tego kraju, ich kultury

(*Łapacz snów*) i przeszłości, o pamięć Indian, którzy dawniej „bili się nieprzerwanie z Huronami / by opanować brzegi Wielkich Jezior” (*Nad jeziorem Huron*). Indiańskie dziedzictwo przywoływał w swojej poezji także Bogdan Czaykowski. W symbolicznym wierszu *Archanioł archeologii* podejmuje problem powrotu do głębi natury poprzez pamięć i ziemię. Wytrwałe pokonywanie kolejnych warstw, mimo przeciwności daje nadzieję na połączenie z ziemią i wrośnięcie w nią, a więc na zadomowienie:

> kopałem za indiańskim zbożem
>
> w sypkiej ziemi
>
> z suchością spichrza w ustach
>
> głębiej głębiej
>
> po ziarenko
>
> poza wygnanie
>
> w tańcu

dzikich pszczół

aż na pokąsanej dłoni

złożyłem

jak oko ptaka

ziarenko złota

jęczmienne

zdolne kiełkować

(*Archanioł archeologii* z tomu *Jakieś ogromne szczęście. Wiersze wybrane z lat 1956–2006,* s. 97–98)

Kanada pojawia się w wierszach Śmiei nie jako motyw dominujący (jednak bardziej zaznacza swą obecność niż Londyn), ale raczej jako potrzeba opisania otaczającej codzienności. Kanadyjski konkret, przestrzeń, przez poetę wybrana i zagospodarowywana, służy budowaniu stabilizacji, zmniejsza także rozdźwięk między emigracyjnym „tu" i dalekim „tam". Śmieja „tam" nosi w sobie i z sobą, a „tu" jest jego świadomym, choć przymusowym przecież, wyborem życiowym. Przyroda, jako łącznik tych przestrzeni, podlega takim samym niezmiennym prawom po obu stronach kontynentu.

Słuszna wydaje się uwaga Marka Pytasza diagnozującego głos poetycki Śmiei, który stwierdził, że utwór poety świadczy o:

> […] uznaniu przestrzeni rozciągającej się między Kanadą a Polską za obszar egzystencji, w której rozgrywają się poważne sprawy ludzkich doświadczeń, ani emigracyjne, ani krajowe, ale właśnie ludzkie[20].

Podmiot liryczny wierszy Śmiei podejmuje próbę zakorzenienia w Kanadzie, przekroczenia rozdarcia na dwoje – Śląsk i obczyznę – Kanadę i wejścia w obszar, który Danuta Mostwin nazwała tożsamością[21] dwukierunkową, tak zwaną „trzecią wartością", sugerującą postawę otwartą i zapewniającą poczucie bezpieczeństwa dzięki więzi z kulturowymi wartościami dawnego

oraz nowego środowiska. „Trzecia wartość" jest formą pośrednią między identyfikacją z krajem pochodzenia a krajem osiedlenia, powstającą w wyniku procesu twórczego, a nie mechanicznego[22]. Zachowanie więzi z przeszłością nie zamyka i nie stoi w sprzeczności z możliwością otwarcia się na nowy kraj. Pokonywanie kolejnych kryzysów prowadzi do ciężko zdobytej mądrości i sytuuje podmiot liryczny utworów Śmiei – niejednokrotnie *porte-parole* pisarza – w pozycji dystansu do zasad i przekonań odziedziczonych i nabytych, a ustawiając na szczycie hierarchii troskę o sprawy ogólnoludzkie, pozwala wzbić się na „wyższy szczebel drabiny ewolucji psychicznej człowieka"[23]. Analizując koncepcję „trzeciej wartości" w perspektywie dwukulturowości, Janusz Pasterski słusznie zauważa, że:

Wskazana przez nią (Danutę Mostwin – przyp. N. C.) zdolność kreatywnego rozwiązywania kryzysu w konfrontacji z nowym układem może mieć zastosowanie ogólnoludzkie i wszechstronne, a także wykraczać poza zjawiska społeczne właściwe dla emigrantów. Wszędzie tam, gdzie następuje spotkanie z „innym", możliwy jest tego rodzaju dialog-wymiana, twórczy wkład w proces zmian kulturowych[24].

Dla Śmiei przestrzeń, której doświadcza nie jest kategorią neutralną. Jednak to polskość, śląskość jest przez niego mocniej odczuwalna: wierny językowi polskiemu, w wierszach pochyla się

nad ludźmi zapomnianymi, w kanadyjskim London stworzył enklawę polskiej kultury – Polski Klub Dyskusyjny; od lat przyjeżdża do Polski, by wykładać na rodzimych uniwersytetach. Podmiot Śmiei stale konfrontuje się z nowymi miejscami, topografiami, projektuje pamięć o miejscu dzieciństwa na miejsca nowe, w efekcie czego stają się one hybrydyczne, jednak nie prowadzą do kategorycznego rozróżnienia „albo-albo". Wpisuje się on w pojęcie „trzeciej przestrzeni" Homiego Bhabhy, która uwypukla podyktowaną doświadczeniem migracyjnym niemożność dokładnego umiejscowienia się podmiotu. Prowadzi to do wytworzenia miejsca, w którym różne przestrzenie nakładają się na siebie, dzięki czemu możliwa jest perspektywa zwielokrotniona, wykluczająca definitywne rozgraniczenie na „tu" i „tam"[25]. Śmieja wybrał i zracjonalizował swoje miejsce, nie oznacza to jednak, że przestały mu towarzyszyć lęki egzystencjalne. Problematyka emigracyjna w jego poezji wzbogacona jest akcentami autobiograficznymi, realnymi wydarzeniami. Niejednokrotnie wydarzenia mające potwierdzenie w biografii poety ustępują miejsca kreacji literackiej, będącej wynikiem bacznej obserwacji świata oraz poznawania siebie. Epizody te tworzą mozaikę różnorodnych obrazów, zarówno fikcyjnych, jak i autentycznych, z których wyłania się portret podmiotu lirycznego wierszy Floriana Śmiei, dla którego emigracja, jako bolesne, traumatyczne doświadczenie, staje się szansą na poszerzenie swojej przestrzeni życiowej[26] o inne kultury, światopoglądy, szansą

na wzbogacenie swojej biografii po wyjściu z trajektoryjnej podróży, traktowanej jako wymagający „przepracowania” epizod w całym życiu człowieka.

Literacka twórczość Śmiei przepełniona jest chęcią utrwalenia życia, myśli, czynów, a jej przeznaczeniem staje się doskonalenie w życiu i pisaniu, albowiem ta poezja nastawiona jest na podmiotowość człowieka i otwarta na wszystkie jego sprawy, aktualne mimo czasu historycznego.

Niewątpliwie na kształt tej poezji wpływ ma rzeczywistość, w której Śmieja żyje. Jednak emigracja nie jest dla niego siłą niszczącą, przekleństwem i ciągłą tęsknotą za mityczną Itaką – krajem dzieciństwa. Czynnikiem determinującym tę poezję i głównym jej wyznacznikiem jest dialektyka pamięci, wiążąca się z przypominaniem, odtwarzaniem minionego i zapominaniem. Namysł nad jego poezją prowadzi do pochylenia się nad tym, co niejednokrotnie niedostrzegane przez swą prostotę – nad codziennością. Szare wołanie przebijające z wierszy Śmiei jest zwróceniem uwagi na to, co dostępne jest każdemu z nas, nie tylko w wąskim polu emigracyjnym. To budowanie tożsamości poprzez rozwiązywanie kolejnych kryzysów, które wpisane są w naturalny porządek świata od wieków:

> Nawet najpodlejszym rankiem
>
> czerp radość z przebudzenia.
>
> Intonuj „Kiedy ranne”, bo kiedyś
>
> przodkowie mieli te same troski
>
> i podniosłym hymnem umieli
>
> zażegnać niepokój serca.
>
> Ty czytasz horoskopy
>
> i wiesz, że za chmurami
>
> promień słońca gotów
>
> rozproszyć wszelką trwogę.
>
> (*Radość* – wiersz przysłany autorce przez Floriana Śmieję)

Dla autora *Późnych notacji* niewątpliwie sytuacją do ciągłego

przepracowywania była emigracyjna codzienność, w której funkcjonował. W przeciwieństwie do Andrzeja Buszy, Śmieja podejmuje próby zakorzenienia się w Kanadzie poprzez działalność naukową i społeczno-kulturową. Nie udaje mu się stworzyć tożsamości dwukierunkowej, jednak nie ma w nim żalu ani rozdarcia na „tu" i „tam". Pamięć w jego literackich i życiowych wyborach nie jest rozpamiętywaniem prowadzącym do stagnacji i samotności, ale bogatym kalejdoskopem i fundamentem istnienia, wciąż rozwijającego się. Śmieja utrwala całą paletę spraw powszechnych, dostrzegając silne powiązanie życia ludzkiego z naturą, jej etapami i prawami, woła o zapomnianych i pomijanych ludzi kultury i natury. Szare wołanie w tej poezji to wołanie każdego zwykłego, prostego człowieka niezależnie od czasu historycznego i miejsca, jakie wybrał do życia.

Na niniejsze opracowanie złożyły się wybrane fragmenty książki autorki: *Navigare necesse est. Świadectwa pamięci w twórczości literackiej Floriana Śmiei,* Krosno 2015.

---

[1] Określenie Bogdana Czaykowskiego z wiersza *Argument:* „to ja jestem żelazną kurtyną / dzielącą dwie niedorzeczywistości".

Więcej informacji na ten temat por. B. Szałasta-Rogowska, *Urodzony z piołunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego,* Katowice-Toronto 2005, Z. Marcinów, *Urodzony wiele razy. O poezji Bogdana Czaykowskiego* [w:] *Wśród poetów współczesnych,* red. W. Wójcik, Katowice 1985, s. 147.

[2] M. Czermińska, *Dom w autobiografii i powieści o dzieciństwie* [w:] *Przestrzeń i literatura,* red. M. Głowiński i A. Okopień-Sławińska, Wrocław 1978, s. 231.

[3] Z. Andres, *Pamięć i egzystencja. Z rozważań nad poezją Floriana Śmieji* [w:] *Parabole pamięci…,* s. 51.

[4] J. Wolski, *„Gromadźmy wspomnienia". Floriana Śmieji poezja pamięci* [w:] *Parabole pamięci…,* s. 31.

[5] J. Wittlin, *Blaski i nędze wygnania* [w:] tegoż, *Pisma pośmiertne i inne eseje,* oprac. J. Zieliński, Warszawa 1991, s. 158. Na podobne pojmowanie pamięci w twórczości Wacława Iwaniuka wskazuje Jan Wolski w swojej książce *Wacław Iwaniuk. Szkice do portretu emigracyjnego poety,* Toronto-Rzeszów 2002.

[6] Zob. *Poetycki krąg „Kontynentów". Artykuły i szkice,* pod red. Z. Andresa i J. Wolskiego.

[7] Terminu tego użyli Alicja Jakubowska-Ożóg i Zenon Ożóg.

Poddając analizie poezję Floriana Śmiei z lat 1992–2002, zauważyli, że pamięć autora *Późnych notacji* ma charakter sensualny i „cechuje ją dwuznaczność, bowiem im częściej wspomnienia zostają przywoływane, tym dramatyczniejsze staje się poczucie bezsilności wobec upływającego czasu […]. Obrazy miejsc utraconych stają się rodzajem autobiograficznej spowiedzi, rozliczeniem z przeszłością, a także oswojeniem teraźniejszości i tego nieznanego przyszłego czasu". A. Jakubowska-Ożóg, Z. Ożóg, *Ars senescendi. Elegijność w poezji ostatniej dekady Floriana Śmeji* [w:] *Parabole pamięci…*, s. 80–95.

[8] Władysław Kopaliński wymienia między innymi takie znaczenia symbolu ziemi: Wielka Macierz, dawca życia, skarbnicę życia i bogactw, odrodzenie, świętość, wieczność, uczuciowość, mądrość, gwarant, matka, por. W. Kopaliński, *Słownik symboli,* Warszawa 2007, s. 500–502.

[9] M. Baster, *Róbmy swoje,* „Magazynek Śląsk", dodatek do Gazety Wyborczej, 20 października 2000 r., s. 17.

[10] Wśród licznych opracowań na temat literackiej symboliki domu, a wraz z nią problemu zakorzenienia w społeczności, tradycji, przestrzeni geograficznej i kulturowej, wymienić należy: M. Czermińska, *Dom w autobiografii i powieści o dzieciństwie* [w:] *Przestrzeń i literatura. Studia*, pod red. M. Głowińskiego

i A. Okopień-Sławińskiej, Wrocław 1978; J. Prokop, *Pod rodzinnym dachem* [w:] tegoż, *Szczególna przygoda żyć nad Wisłą*, Londyn 1985; D. Benedyktowicz i Z. Benedyktowicz, *Dom w tradycji ludowej,* Wrocław 1992; *Dom we współczesnej Polsce. Szkice,* pod red. P. Łukasiewicza i A. Sicińskiego, Wrocław 1992; A. Legeżyńska, *Dom i poetyka bezdomności w liryce współczesnej,* Warszawa 1995.

[11] R. Nycz, *Każdy z nas jest przybyszem. Wzory tożsamości w literaturze polskiej XX wieku* „Teksty Drugie" 1999 nr 5, s. 42.

[12] Bogate źródło funkcjonowania toposu ojczyzny zawiera książka *Pojęcie ojczyzny we współczesnych językach europejskich,* red. J. Bartmiński, Lublin 1993.

[13] Zbigniew Andres, analizując ten wiersz, zauważa: „Wiersz jest właściwie relacją z pogrzebu ojca znanego działacza opozycyjnego, w którym poeta uczestniczył. Śmieja nie szuka wielkich słów dla oddania dramatyzmu chwili. Za pomocą kilku kresek stwarza szkic, w którym utrwala całą złożoność sytuacji, tej konkretnej, i w ogóle polskiej". Por. Z. Andres, *Paradoksy istnienia. O poezji Floriana Śmieji* [w:] *Poetycki krąg Kontynentów. Artykuły i szkice,* red. Z. Andres, J. Wolski, Rzeszów 1997, s. 186.

[14] por. *Literatura polska w Kanadzie. Studia i szkice,* red. B.

Szałasta-Rogowska, Katowice 2010; R. K. Kogler, *The Polish Community as Seen by a Demographer* [w:] A. Ziółkowska-Boehm, *The Roots Are Polish (Korzenie są polskie),* Toronto 1998; K. Dybciak, *Panorama literatury na obczyźnie,* Kraków 1990; K. Slany, *Imigracja polska w Kanadzie w dekadzie lat dziewięćdziesiątych* [w:] *Emigracja z Polski po 1989 roku,* pod red. B. Klimaszewskiego, Kraków 2002; E. Zyman, *Mosty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie,* Toronto-Rzeszów 2010.

[15] M. Kurek, J. Ziarkowska, op. cit., s. 95.

[16] J. Pasterski, *Kanada w poezji Floriana Śmiei,* maszynopis artykułu złożonego do druku w książce *Literatura obu Ameryk,* red. B. Szałasta-Rogowska, Katowice.

[17] F. Śmieja, *Pisarze polscy w Kanadzie* [w:] *Literatura polska na obczyźnie,* t. V*,* Londyn 1988, s. 123.

[18] *Kanada pachnąca żywicą* to tytuł powieści A. Fiedlera z roku 1935, opisująca jego podróż po Kanadzie.

[19] A. Tomaszewski, *Wiosna u Wielkich Jezior,* Toronto 1990, s. 115.

[20] M. Pytasz, *Zatajam ściśle znak okaleczenia. O wierszach*

Floriana Śmiei [w:] F. Śmieja, *Wiersze wybrane*, Katowice 1998, s. 86–87.

[21] Pojęcie tożsamości badaczka zaczerpnęła z prac Erika Eriksona, który odnosił je zarówno do tożsamości osobistej jak i społecznej, zob. E. H. Erikson, *Dopełniony cykl życia*, przekład A. Gomola, Poznań 2002, E. H. Erikson, *Dzieciństwo i społeczeństwo*, przeł. P. Hejme, Poznań 1997.

[22] D. Mostwin, *Trzecia wartość. Formowanie się nowej tożsamości polskiej emigracji w Ameryce,* Lublin 1985, s. 15–21.

[23] Pojęcie to przywołuję za Danutą Mostwin, która w ten sposób opisuje zdobycie przez emigranta „trzeciej wartości", por. D. Mostwin, *Trzecia wartość. Formowanie się…,* s. 132.

[24] J. Pasterski, *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie dwukulturowości,* Rzeszów 2011, s. 68.

[25] Homi Bhabha, *The Location of Coulture*, London 1994, s. 39. Bhabha określa tożsamość migranta postkolonialnego w kategoriach przestrzennych lokując ją w „trzeciej przestrzeni", w której „negacja niewspółmiernych różnic wytwarza napięcie właściwe egzystencjom granicznym". Hannes Schweiger w swoich studiach opisuje tą koncepcję nie jako przestrzeń

mieszczącą się między dwiema innymi przestrzeniami, całościami czy wyobrażeniami, lecz jako miejsce, w którym różnorakie przestrzenie krzyżują się i wzajemnie się określają, dzięki czemu możliwa jest optyka wykluczająca kategoryczne „albo-albo". Por.: H. Schweiger, *Zwischenwelten. Postkoloniale Perspektiven auf Literatur von MigrantIneen* [w:] *Eigene Und anderer Fremde. „Postkoloniale" Konflikte im europäischen Kontext,* red. W. Müller-Frank, B. Wagner, Turia&Kant, Wien 2005, s. 218.

[26] Według Danuty Mostwin przestrzeń życiowa to: „sfera współzależności człowieka z otoczeniem. Sfera ta jest dynamiczna i ulega nieustannym przesunięciom, a mimo to jednostka zachowuje psychiczne equilibrium. W obrębie przestrzeni życiowej znajdują się fakty, które przedstawiają wartość dla jednostki. A więc na przykład: fakt pracy zawodowej, ludzie bliscy z rodziny, miejsca, do których przywiązuje się wagę uczuciową, sytuacje zapamiętane w dzieciństwie, które wciąż mają znaczenie. W przestrzeni życiowej znajdują się fakty dotyczące trudności, kłopotów, nieporozumień, rozłąki i utraty miejsc i osób. Współzależność tych wszystkich faktów i osób, które w przestrzeni życiowej się znajdują, decyduje o postępowaniu jednostki". Por. D. Mostwin, *Przestrzeń życiowa emigranta,* „Akcent" 1991 nr 4, s. 22.

Dziewięćdziesiąte czwarte urodziny prof. Floriana Śmieji



Drogi i Kochany Panie Profesorze! Na przekór biologii i statystykom, z całego serca, życzę jeszcze wielu lat w zdrowiu, wielu pomysłów i weny twórczej. Jest Pan niezastąpiony i bardzo potrzebny, jest Pan mentorem i współredaktorem, bez którego magazyn „Culture Avenue" ani by nie powstał, ani nie miał takiego charakteru. Bardzo zależy mi na każdej Pana uwadze i radzie. Dziękuję za ręczne przepisywanie tekstów z epoki sprzed komputerowej, podziwiam jak szybko nauczył się Pan współczesnej technologii i że wciąż rodzą się jakże mądre wiersze, którymi dzieli się Pan ze światem. Podziwiam za światły umysł, niedzisiejszą etykę, która dla Pana jest oczywistością, a której tak brakuje we współczesnych czasach i za to, jakim jest Pan człowiekiem i przyjacielem, z którym można podzielić się każdą sprawą. Jeszcze dużo wyzwań przed nami. Codziennie setki ludzi na całym świecie czeka na nowy artykuł na naszym portalu. I to jest nasz wspólny sukces.

Joanna Sokołowska-Gwizdka